NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 98·80 Marek, Półrocznie 199·60 Mk. Rocznie 399·20 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

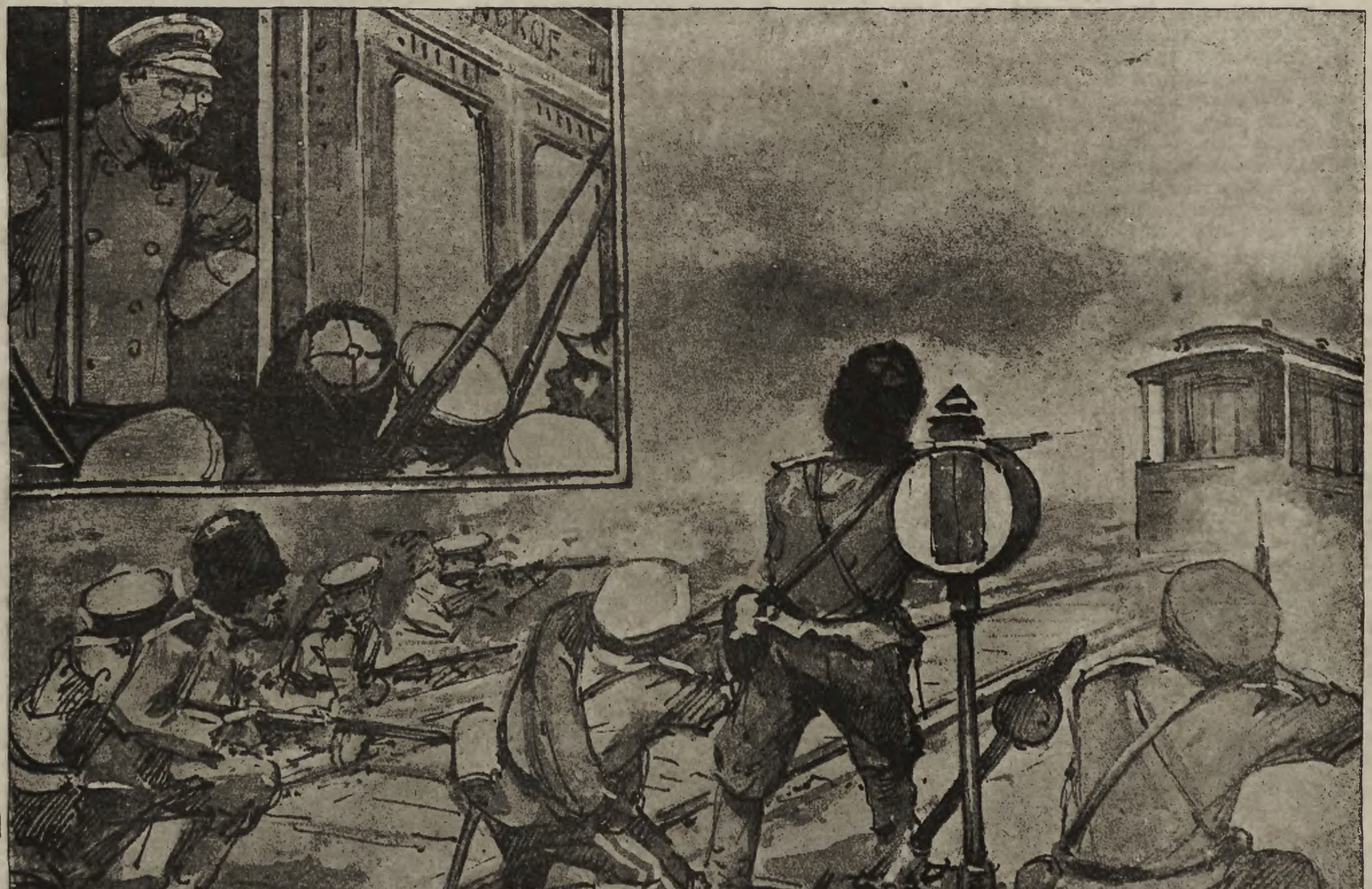
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 8 Marek.

Rok XVII. Kraków, 30. października 1920. Nr 44.

Bolszewicy przeciw czerwonym carom



Ostrzeliwanie pociągu, którym jechał Trocki, przez zbuntowanych żołnierzy w Baranowiczach.
U góry: Kamieniew przemawia w imieniu Trockiego do zbuntowanych żołnierzy.

Bolszewicy przeciw czerwonym carom.

(Do illustracyi tytułowej).

Nadchodzące z głębi Rosyi wiadomości o zamęcie, panującym na całym obszarze byłego imperyum Romanowów, brzmią z każdym dniem coraz groźniej. Niezadowolenie z dotychczasowych rządów wzmaga się stale, a cały ogrom nienawiści zwraca się przeciw tym, którzy ster ujęli w swe ręce i miast zapowiedzianej wolności i dobrobytu przynieśli niewolę i nędzę, a każdy odruch sprzeciwu swej despotycznej woli topią w potokach krwi. Nawet zwolennikom nowego kierunku zaczynają się otwierać oczy. Zaczynają poznawać, że nie chodziło tu o walkę dla idei, ale raczej dla interesu jednostek, które, korzystając z położenia, w jakiem się Rosya znalazła, zagarnęły dla siebie władzę i nie myślą o wypuszczeniu jej z rąk.

Niepowodzenia na froncie polskim były też kroplą, która przelała kielich goryczy. Zamiast tak głośno zapowiadanego zwycięstwa, haniebna porażka i widmo dalszej wojny, wojny bez końca, ale i bez spodziewanych korzyści, wewnątrz kraju chaos, głód i zarazy, słowem piekło, zamiast obiecywanego raju.

Ludzka cierpliwość ma swoje granice, miała je i cierpliwość mas ludowych Rosyi, widzących dziś już jasno, że je okłamano. Budzi się zatem jawny bunt przeciw czerwonym tyranom, bunt, któremu nie położy kresu nawet i straszny terror, przy którego pomocy sowieccy carowie starają się utrzymać przy władzy. Obojętność i zniechęcenie, które dotąd ogarniały ciemne masy, ustępują miejsca otwartej nienawiści przeciw ciemiężycielom.

Czerwoni carowie sowieckiej Rosyi liczą się też poważnie z tem usposobieniem ludu, a mając na względzie przedewszystkiem osobiste bezpieczeństwo, otaczają się czujną strażą, która tylko wybranych a pewnych dopuszcza przed ich dostojne oblicze.

Dowodem tego jaki duch ogarnął dziś Rosyę sowiecką, jest wypadek, jaki się zdarzył niedawno na stacyi kolejowej w Baranowiczach.

Na stacyę zajechał pociąg specyalny, który wiózł Trockiego i Kamieniewa. Równocześnie znalazła się tam i rozbita na froncie i zdezorganizowana dywizya sowiecka, wracająca w nieładzie w głąb kraju.

Gdy się żołnierze dowiedzieli, kto bawi w Baranowiczach, wysłali do Trockiego deputacyę, aby go zapytać, kto jest powodem tych ciągłych klęsk i kiedy się można spodziewać końca. Czerwony car deputacyi nie przyjął, wysłał do niej tylko Kamieniewa, który oświadczył zebranym, że z tchórzami konferować nie myśli i zagroził, że po powrocie do swych pułków będą zdziesiątkowani. W odpowiedzi na to posypały się wrogie okrzyki i pogróżki, a gdy pociąg ruszył z miejsca, rozdrażnieni tem przyjęciem żołnierze zaczęli go ostrzeliwać. Trocki został podobno ranny w rękę, Kamieniew miał natomiast odnieść poważniejsze obrażenia.

Widmo zemsty oszukanego ludu staje przed oczyma czerwonych carów w coraz wyraźniejszej postaci.

Zgon kapłana-obywatela.

Zamknęła się mogiła nad dobrym obywatelem i człowiekiem gołębiego serca. Kto znał ś. p. ks. Stanisława Spisa, ten przyzna, że w słowach naszych niema najmniejszej przesady, że nie są one komunałem nekrologowym, lecz stwierdzeniem prawdy.



Zgon kapłana-obywatela: Sp. Ks. Dr. Stanisław Spis, kanonik katedralny w Krakowie.

Ukończywszy gimnazyum, porzucił uniwersytet lwowski, aby stanąć do walki za wolność w roku 1863. Spełniwszy obowiązek względem ojczyzny, oddał się służbie Bożej. Jako kapłan świecił przykładem: podnosił ducha, niósł biednym pomoc materyalną. Na stanowisku profesora seminaryum dyecyalnego w Przemyślu, a potem Uniwersytetu krakowskiego zyskiwał sobie serca uczniów łagodnością i serdeczną opieką, jakiej im użyczał. Wybrany do rady miejskiej, należał do najpracowitszych i najgorliwszych ojców naszego miasta. Stanąwszy na czele sekcyi szkolnej, sprawom jej oddawał czas i pracę. Tu dał się głównie poznać z niezwykłych zalet charakteru. Wszelkich starań dołożył, aby w miarę możności ulżyć doli biednych, obarczonych rodzinami nauczycieli; uzyskał w tym celu fundusze, których rozdział zostawiono jego uznaniu, wiedziano bowiem, że będzie nimi zarządzał najskrupulatniej i najwłaściwiej. Podkreślić też należy, że jako radca miejski, szedł zawsze za głosem rozumu i sprawiedliwości, nie ulegając partyjnej polityce. Ta bezstronność nie podobała się klice prezydyalnej, rządzącej miastem, więc postarano się znanymi środkami usunąć z Rady jednego z najuczciwszych i najgorliwszych jej członków. Sekcya szkolna straciła przewodnika, jakiego ani przedtem, ani potem nie posiadała. Pozatem ś. p. ks. Spis brał chętnie udział w każdej akcyi, do jakiej go wezwano, a której celem było dobro publiczne. Polak „bez zastrzeżeń", nie dbał o uznanie naszych arcylojalnych, pomalowanych farbą czarno-żółtą. Dla rzeczy uczciwej, patryotycznej, pożytecznej miał zawsze dłoń otwartą. Wrodzoną łagodnością, wyrozumiałością umiał uspakajać wzburzone umysły — godzić ludzi, a nie rozdwajać. Będąc rektorem uniwersytetu w czasie smutnych zajść, wywołanych niezdrową agitacyą z poza uczniów wszechnicy, okazał ogromny takt i prawdziwą miłość dla młodego pokolenia.

S. p. Stanisław Spis urodził się w Radymnie w r. 18[illegible]3, święcenia kapłańskie otrzymał w Przemyślu w r. 1868. Przez kilka lat był profesorem nauk biblijnych Nowego Testamentu w Seminaryum dyecezyalnem w Przemyślu, następnie proboszczem w Świlczy koło Rzeszowa. W r. 1879 powołany na katedrę zwyczajnego profesora nauk biblijnych Nowego Testamentu na wydziale teologicznym Uniw. Jagiell., był kilkakrotnie dziekanem tego wydziału, a w r. 1887-8 rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. W r. 1881 został kanonikiem kapituły katedralnej krakowskiej. W r. 1918 obchodził złoty jubileusz kapłański.

Cześć pamięci zacnego kapłana patryoty!

B.

Ze wspomnień rygskich.

Delegacye pokojowe opuściły już Rygę, udając się każda w swoją stronę. Życie w mieście wróciło na normalne tory, natomiast prasa całego świata zajęta jest Rygą i tym historycznym faktem, który dokonał się w jej murach. „Dom czarnogłowych" i wielka jego sala, w której obradowała konferencya i podpisano rozejm i preliminarya, przeszły do historyi. Czy jednak będzie trwałą ta budowla, pod którą tutaj podłożono podwaliny, przyszłość to dopiero pokaże i to może nawet niedaleka.

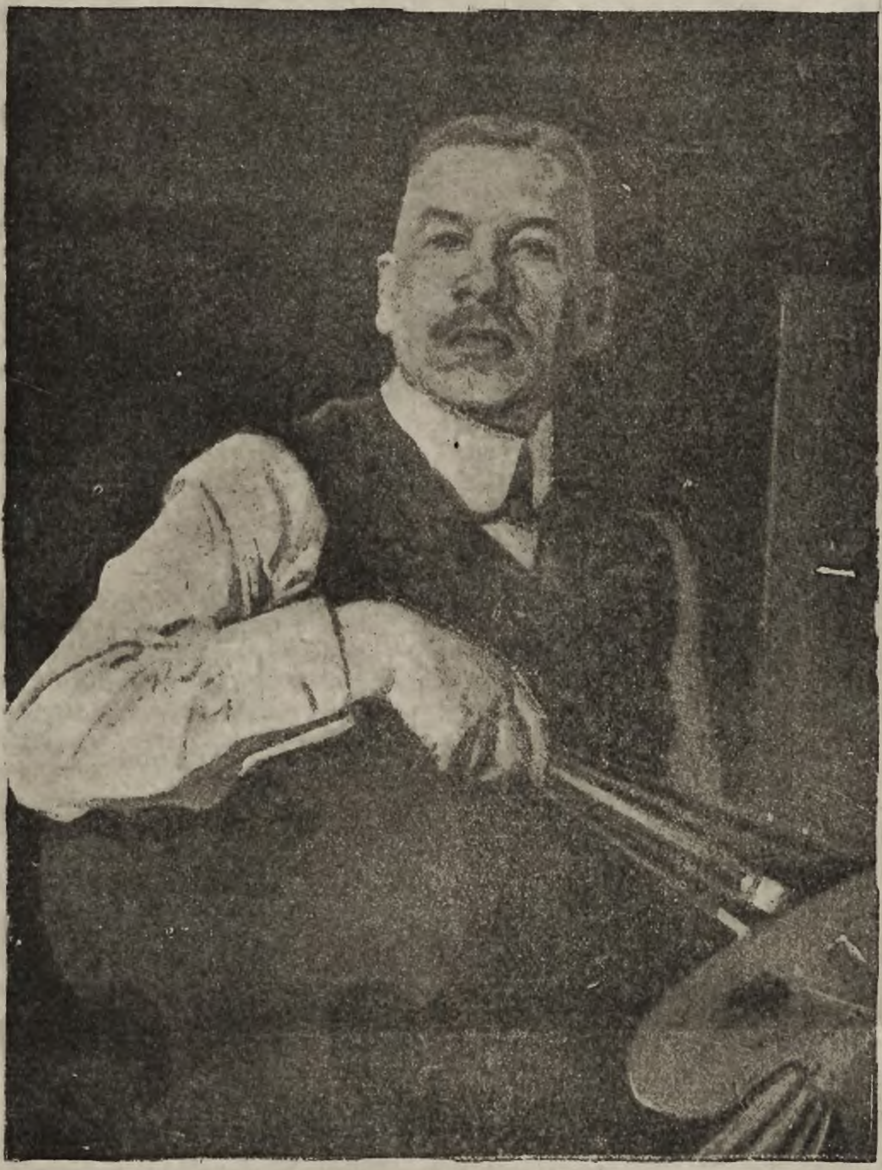
W każdym razie w dziejach Rosyi rok 1920 zajął bardzo poważne miejsce.



Ze wspomnień rygskich: Wielka sala w „Domu czarnogłowych", w której odbywały się konferencye delegacyi i podpisano rozejm i preliminarya pokojowe.

Przebieg ostatniego posiedzenia konferencyi opisuje jeden z uczestników w sposób następujący:

„W przedsionku Czarnogłowców rojno i gwarno. Zmieszany tłum dziennikarzy, ekspertów, urzędników, gości, delegatów pokojowych i przedstawicieli dyplomatycznych poszczególnych państw w oczekiwaniu na posiedzenie dyskutuje zawzięcie o szczegółach preliminarzy, komentując poszczególne paragrafy i ustępy. Gdzieś w kącie delegacya kmieci polskich z powiatu dziśnieńskiego przybyła w przeddzień podpisania preliminarzy, ściska z mocą dłonie naszych ekspertów, urzędników i dziennikarzy, dziękując ze wzruszeniem za włączenie ich powiatu do Polski.



Śp. Stanisław Lentz.

Hałasujący w przedsionku tłum niecierpliwi się wreszcie. Ale dopiero o godzinie wpół do 5 otwarto salę i fale tłumu płyną do wyznaczonych miejsc. Na sali rojniej aniżeli podczas pierwszego posiedzenia. Szczelnie obsadzona loża dyplomatyczna, a krzesła dla publiczności, rozstawione wzdłuż ścian sali, nie mogą wszystkich pomieścić.

Pustkami tylko świeci stół delegacyi, która jeszcze odbywają przed uroczystą chwilą ostatnie narady.

Po półgodzinnem oczekiwaniu, w czasie którego obserwowaliśmy bieganinę sekretarzy obu delegacyj, weszła wreszcie z p. Joffem na czele delegacya bolszewicka. Ubrana w uroczyste szaty, zasiadła milcząco za stołem, oczekując niecierpliwie na delegacyę polską.

Po trzech minutach zjawiła się i nasza delegacya — przewodnictwo objął p. Joffe i rozpoczęło się uroczyste posiedzenie.

Oczy wszystkich zwróciły się na stół środkowy, obstawiony szczelnie przez delegatów, ekspertów i urzędników. Widać było wszystko jak na dłoni.

Wielki pająk, zawieszony pośrodku sali, rzucał rzęsiste światło na wszystkie strony, oświecając także i obrazy carów rosyjskich, widniejące na ścianach.

P. Joffe, zawsze do tej pory spokojny i świetnie panujący nad sobą, dziś był dziwnie zdenerwowany. Nie płynęły już tak gładko i miodowo z jego ust słowa i zdania, jak na poprzednich posiedzeniach.

Rozpoczęło się wreszcie czytanie tekstu preliminarzy i warunków zawieszenia broni. Czytał je najpierw po rosyjsku p. Joffe, potem po polsku p. Dąbski, wreszcie „po ukraińsku“ p. Manuilskij.

Po odczytaniu tekstu preliminarzy obaj przewodniczący wygłosili mowy. Mówiono o szczęściu, które przyniesie obu narodom pokój, dziękowano sobie wzajemnie za pracę itd.

Wreszcie przystąpiono do końcowego momentu posiedzenia, t. j. podpisania tekstu preliminarzy. Teksty podpisano w dwu egzemplarzach. Oprócz podpisu każdy delegat wycisnął na dokumencie swoją pieczątkę z pierwszemi literami swego nazwiska.

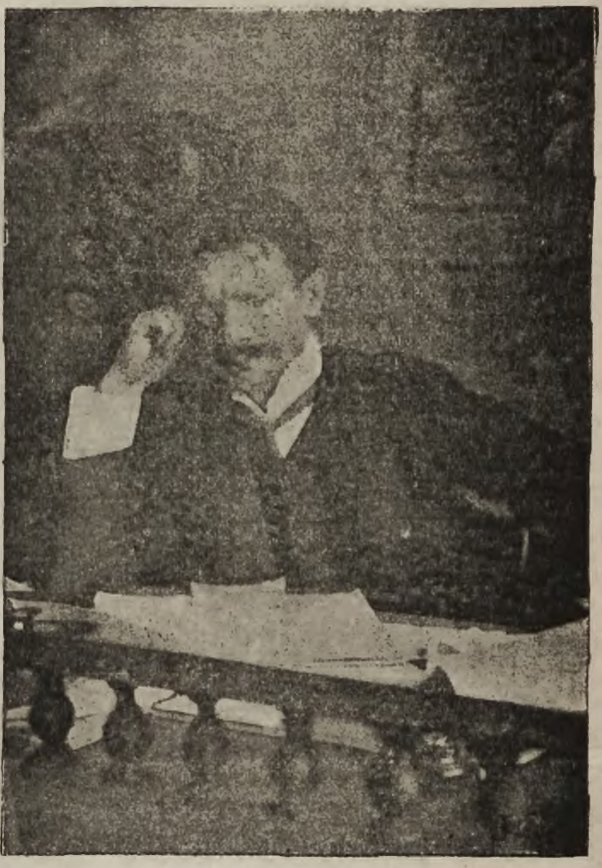
Nie obeszło się naturalnie podczas owej czynności bez fotografii.

Po podpisaniu preliminarzy i po zamknięciu posiedzenia, delegaci wstali, ukłonili się sobie wzajemnie, a wreszcie podali sobie ręce. Uściski owe, pieczętujące warunki preliminarzy, zakończyły posiedzenie.

† Stanisław Lentz.

Dnia 19 października b. r. zmarł na wadę serca jeden z najwybitniejszych polskich portrecistów, Stanisław Lentz. Urodzony w Warszawie 1862 r. — odbył studya jak cała rzesza ówczesnych polskich artystów w Akademii monachijskiej, pod kierunkiem Benczura i Wagnera, następnie wyjeżdża do Paryża. Poświęciwszy się przedewszystkiem portretowi — zdobywa liczne medale i nagrody. Nie było osobistości w Polsce, a w szczególności w Warszawie, którejby dzielny pendzel Lentza nie utrwalił potomnym. W roku jubileuszowym Towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie, mieliśmy sposobność widzieć jego trzy prace, między niemi ów słynny, zbiorowy portret ostatnich profesorów b. Szkoły Głównej w Warszawie, a w roku ubiegłym na Wystawie „Sztuki“ portret własny, zakupiony z funduszów państwowych dla Muzeum Narodowego i kilka płócien o charakterze rodzajowym.

Ostatniemi laty, kiedy dzięki fundacyi Kierbedziowej, powstała w Warszawie Szkoła Sztuk Pięknych, Stanisław Lentz stanął na jej czele i jako dyrektor jej chlubnie zapisał się w początkowych jej dziejach. Urząd ten sprawował ś. p. Lentz z całym zapałem, skupiał najwybitniejsze siły profesorskie, nim śmierć nie wywarła go z ich grona. Warszawa dziś okryła się żałobą, Polska traci dzielnego obywatela i syna, a sztuka rzetelnego i prawdziwego jej wyznawcę.



Nad świeżą mogiłą Sp. Rudolf Ostoja Starzewski, naczelny redaktor „Czasu“.

W dziejach naszego malarstwa był przez swą wybitną indywidualność, unikatem, w dziejach portretu męskiego w szczególności. Nikt tak nie znał postaci męskiej i jej duszy i nikt tak jędrnie jej nie oddawał, jak ś. p. Lentz. Należał do „starej szkoły“ — ściany pracowni służyły mu za tło, nadawały płótnom jego swój specyalny ton, do nowatorów trudno go było zaliczyć — ale to nie przeszkadzało mu tworzyć prawdziwe dzieła sztuki.

Każdy portret Lentza nosi na sobie ten „lwi pazur“ twórcy, każde płótno jego wybija się swą dziwną pasyą malarza. Śmierć dopiero nieubłagana unieruchomiła ten niestrudzony motor twórczy,





Nowe formacye ochotnicze na prowincyi:

Kapelan garnizonu częstochowskiego ks. Peche odprawia mszę polową przy ołtarzu z armat.

Błogosławieństwo ochotników artyleryi, odchodzących na front.

ale dzieł jego nie wyrwie historyi portretu polskiego, w której każde z nich lapidarnemi już wyryło się głoskami.

Franciszek Znrek.

Nad świeżą mogiłą.

Nieubłagana śmierć zbiera obfite żniwo. Tysiące ofiar pada na polu walki, krwią swoją dając wyraz miłości dla tej świętej ziemi, w której stanęli obronie, tysiące zabiera i wewnątrz kraju, a ułatwiają jej zadanie fatalne następstwa wojennych stosunków.

Dzień za dniem wzrasta kronika żałobna, a na jej kartach spotykamy nazwiska wielu takich, którym mogło być danem długie jeszcze lata pracować dla dobra ogółu.

W rzędzie ich znajdujemy i ś. p. Rudolfa Starzewskiego, naczelnego redaktora „Czasu“, współpracownika tego najstarszego krakowskiego organu od lat trzydziestu.

Przez śmierć jego przedwczesną a niespodziewaną, dziennikarstwo polskie poniosło bardzo dotkliwą stratę, ubył bowiem z jego grona pracownik bardzo dzielny, oddany swemu zawodowi duszą i sercem. Zmarł prawie na posterunku, gdyż w chwili, gdy wychodził do redakcyi, gdzie codziennie spędzał pracowicie przy biurku po kilka, a nawet, jeżeli zaszła potrzeba, i po kilkanaście godzin.

S. p. Rudolf Ostoja Starzewski urodził się w Krakowie w r. 1870. Po ukończeniu studyów średnich w tarnopolskim konwikcie OO. Jezuitów zapisał się na wydział prawniczy Uniwersytetu Jagiellońskiego, który ukończył wprawdzie, ale miał szczere zamiłowanie do historyi a zwłaszcza literatury. To go prawdopodobnie popchnęło na drogę dziennikarstwa, które dopiero w ostatnich czasach zostało opanowane przeważnie przez ludzi bez studyów i przygotowania literackiego. Dlatego to coraz bardziej daje się odczuwać brak publicystów, to jest tych pracowników dziennikarskich, którzy mają coś do powiedzenia, którzy umieją głębiej wniknąć w sprawy polityczne, społeczne, kulturalne.

Dziennikarstwo jednak, jak wiadomo, zabija najczęściej talent twórczy. Sprawdziło się to i na Starzewskim. Początkowe jego prace zapowiadały nietylko tęgiego publicystę, ale i głębokiego krytyka i estetyka. W kieracie dziennikarskim zagubił, a raczej zawiesił swój talent literacki, na co wpłynęły i wewnętrzne stosunki wydawnictwa „Czasu“. Właściciele tego dziennika, dla użenia sobie kłopotów, oddali głównemu redaktorowi pismo w rodzaj przedsiębiorstwa. Tymczasem praca redakcyjna wymaga wiele czasu, a jeżeli z nią połączona jest i troska o materyalną stronę dziennika, to redaktor niema już wprost możności pracować na polu naukowem lub literackiem.

Jako publicysta posiadał Starzewski temperament, dobre pióro i znaczną dozę tego umiarkowania, spokoju, które w naszych stosunkach są zasługą.

W r. 1905 objął po Chylińskim kierownictwo „Czasu“ i prowadził je wzorowo, aż do dnia katastrofy, która była tem boleśniejsza, że zupełnie nieoczekiwana.

W życiu społecznem, którego przejawami żywo się zajmował, brał też chętny i wybitny udział. Zwłaszcza praca jego w Naczelnym Komitecie Narodowym zasługuje na szczególne podniesienie.

Zalety serca i umysłu zjednywały mu nawet wrogów politycznych, którzy cenili w nim szermierza zasad, a nie interesu, przedwczesny zaś zgon okrył żałobą dziennikarstwo polskie, wydawnictwo i liczne grono przyjaciół politycznych i osobistych.

Nowe formacye ochotnicze
na prowincyi.

Rokowania w Rydze szczęśliwie skończone, warunki rozejmu i preliminarya pokojowe w najbliższym już czasie będą ratyfikowane, można się więc spodziewać i pokoju stałego, choć musi się być przygotowanym na różnego rodzaju niespodzianki ze strony Rosyi sowieckiej. Jeżeli nie zaraz, to bodaj na wiosnę, o ile naturalnie sowiety tymczasem karku nie skręcą, na co się bardzo w ostatnich czasach zanosi. Ale i wtedy nie jesteśmy zbyt bezpieczni z tej strony, nie wiedząc, kto po nich przyjdzie i jakie wobec nas zajmie stanowisko.

Kresy zatem, zwłaszcza wschodnie, wymagają stałe czujnej straży, aby wewnątrz kraju mogło iść życie normalnym trybem.

W tym celu jest zatem potrzebna silna armia, gotowa na każde zawołanie. Demobilizacya nastąpi, gdy na nią pozwolą stosunki, na razie musi się ciągle tworzyć nowe formacye, zwłaszcza zaś obecnie, gdy się zwalnia ze służby ochotników, którzy przerywając swe studya, pospieszyli na wezwanie Ojczyzny, gdy była w potrzebie.

Wojna wieki trwać nie będzie, kraj potrzebuje nie tylko żołnierzy, ale i jednostek, pracujących na innych polach. I dlatego bardzo racyonalnie postąpił zarząd wojskowy, dozwalając młodzieży, będącej w wieku szkolnym, na kontynuowanie studyów, przerwanych wstąpieniem w szeregi.

Równocześnie zwinięto także i Jeneralny Inspektorat Armii Ochotniczej, a agendy jego poddano likwidacyi, nie należy jednak przez to rozumieć, że z tą chwilą przestają wogóle istnieć formacye ochotnicze.

Ministerstwo spraw wojskowych ogłasza wyraźnie w ostatnim komunikacie, że ze względu na potrzeby armii na froncie, tworzy i w dalszym ciągu samoistne oddziały ochotnicze i przyjmuje do nich zgłoszenia na zasadzie tymczasowej ustawy o powszechnym obowiązku służby wojskowej. Pozostaje więc nadal armia ochotnicza, ale w zmienionem nieco ugrupowaniu.

Tworzenie oddziałów ochotniczych różnego rodzaju broni odbywa się na całym obszarze naszego kraju. Zwłaszcza w Częstochowie ruch w tym kierunku jest bardzo ożywiony. Nie tak dawno podaliśmy w naszem piśmie ilustracye, przedstawiające zaprzysiężenie ochotników piechoty, dziś zamieszczamy ryciny, odnoszące się do wymarszu pułku artyleryi ochotniczej, co nastąpiło w ubiegłym tygodniu. Sformowany i wyszkolony pod komendą pułkownika Elijasiewicza w Zaciszu pod Częstochową, opuścił, żegnany owacyjnie przez garnizon i ludność cywilną swą dotychczasową siedzibę, udając się na miejsce nowego przeznaczenia.

Uroczyste zaprzysiężenie ochotników, odchodzących na front, odbyło się po mszy św. polowej odprawionej przez kapelana garnizonu częstochowskiego X. Pechego, wobec sztabu oficerskiego artyleryi polowej z pułkownikiem Elijasiewiczem na czele. Szczególnie pięknie przedstawiał się ołtarz polowy, zbudowany przez żołnierzy na armatach, oraz armata zamieniona na kazalnicę, z której po mszy św. wygłosił X. kapelan do żołnierzy podniosłe przemówienie.



Nowe formacye ochotnicze na prowincyi: Sztab oficerski artyleryi polowej w Częstochowie wraz z pułk. Elijasiewiczem (X) podczas mszy polowej.



Opieka nad żołnierzem polskim: Uczestnicy poświęcenia gospody żołnierskiej w warsztatach automobilowych przy ul. Janowskiej we Lwowie. Na pancernym samochodzie grupa „Dzieci lwowskich“.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

16 I.

IV.

Swięto kwiatów.

Karnawał w Rzymie był tego roku nad podziw wspaniały. Pieniądze płynęły zawrotną falą, zasilając wszystkie wymagania i kaprysy łaknących rozkoszy i użycia.

Raz poraz notowano w dziennikach bale w arystokratycznych domach miasta, zabawy dyplomatyczne w salach Kwirynału, maskowe bale w teatrach i operach i popularne uliczne zabawy, tak rozpowszechnione w Rzymie.

Korso kwiatowe ostatniego czwartku karnawału zapowiadało się przepysznie. Komitet karnawałowy czynny i pomysłowy dołożył wszelkich starań, aby zabawa wypadła artystycznie i wesoło. Plac „walki" otoczony być miał wózkami pełnymi kwiatów, rozsprzedawanych przez urocze i młode ogrodniczki.

Wiele rodzin zamożnych znanych w mieście, wiele młodych kobiet nie troszczących się nigdy o pieniądze i wiele cudzoziemców, przebywających w Rzymie miało wziąć udział w zabawie. Około godziny drugiej ruch wielki zapanował na głównych ulicach. Przepływały fale strojnej, rozbawionej publiczności, szeregi ukwieconych powozów i jeźdźców, paradujących na przepysznych, rasowych koniach.

Balkony wszystkie przepełnione były widzami.

Różnobarwne kwiaty, jak roje motyli, fruwały z powozu do powozu. Początkowo bieg ich był wolny, prawie leniwy, lecz po mału ruch ten ożywił się. Wonne pociski spadały coraz gęstszymi i silniejszymi ciosami, wywołując śmiech, okrzyki, a niekiedy nawet pomruk niezadowolenia poszkodowanego.

Dwóch młodych ludzi, bardzo wytwornie ubranych, trzymając się pod ręce, przeciskało się przez tłumy. Deszcz kwiatów sypał się na nich, wśród żartów i zaczepnych uśmiechów młodych kobiet, starających się zwrócić na siebie ich uwagę.

Jeden z nich wysmukły, blady brunet, był to Robert Alimena, młody hrabia z Milano, drugi, blondyn o niebieskich oczach i głowie archanioła, był jego przyjacielem, a należał do jednej z najstarszych rodzin arystokratycznych w Rzymie, hrabiów Lambertini, cokolwiek w ostatnich czasach podupadłej majątkowo.

Koło kawiarni Aragno, tłok stał się tak nieprzeparty, że młodzi ludzie zmuszeni byli przystanąć na chwilę, odwrócili się, zamieniając ukłony i uśmiechy ze znajomymi, przesuwającymi się powoli w powozach środkiem ulicy.

Przejeżdżała właśnie wspaniała viktorya, cała przybrana fiołkami i kameliami, zwiędniętemi już cokolwiek przez zetknięcie się z tłumem, w której siedziała młoda kobieta strojnie i bogato ubrana. Viktorya zatrzymała się nagle opodal Roberta i jego przyjaciela.

— To Heliana Love! — zawołał. — Ona ciebie woła Ranieri!

— Albo też ciebie, mój kochany Robercie — odparł młody Lambertini.

— A więc chodźmy obydwaj!

Viktorya Heliany zarzucona była kwiatami. Ona zaś sama, w białej powiewnej sukni i kapeluszu z długim, białym welonem podobna była do dużego, fantastycznego kwiatu, spadłego nagle z niebios.

— Oh! Alimena! Lambertini! dzień dobry! dzień dobry! — zawołała, ujrzawszy obydwóch przyjaciół. Chodzicie pieszo jak dwaj starożytni filozofowie. Co wy tu robicie?

— Filozofujemy, piękna Heliano — odparł Ranieri, opierając się swobodnie o drzwiczki powozu.

— I podziwiamy panie — dodał Robert, uśmiechając się uprzejmie.

— Oh! bardzo źle, inaczej przyszlibyście panowie dotrzymać mi towarzystwa w powozie.

— Który z nas? — zażartował Ranieri Lambertini.

— Obydwaj! — zawołała żywo, wybuchając śmiechem. — No! Chodźcie! chodźcie! wsiadajcie!

Robert przecząco potrząsnął głową.

— Nie mogę, piękna pani!

— Dlaczego?

— Przysiągłem, nie pokazywać się już nigdy więcej z żadną kobietą — odparł z powagą Robert.

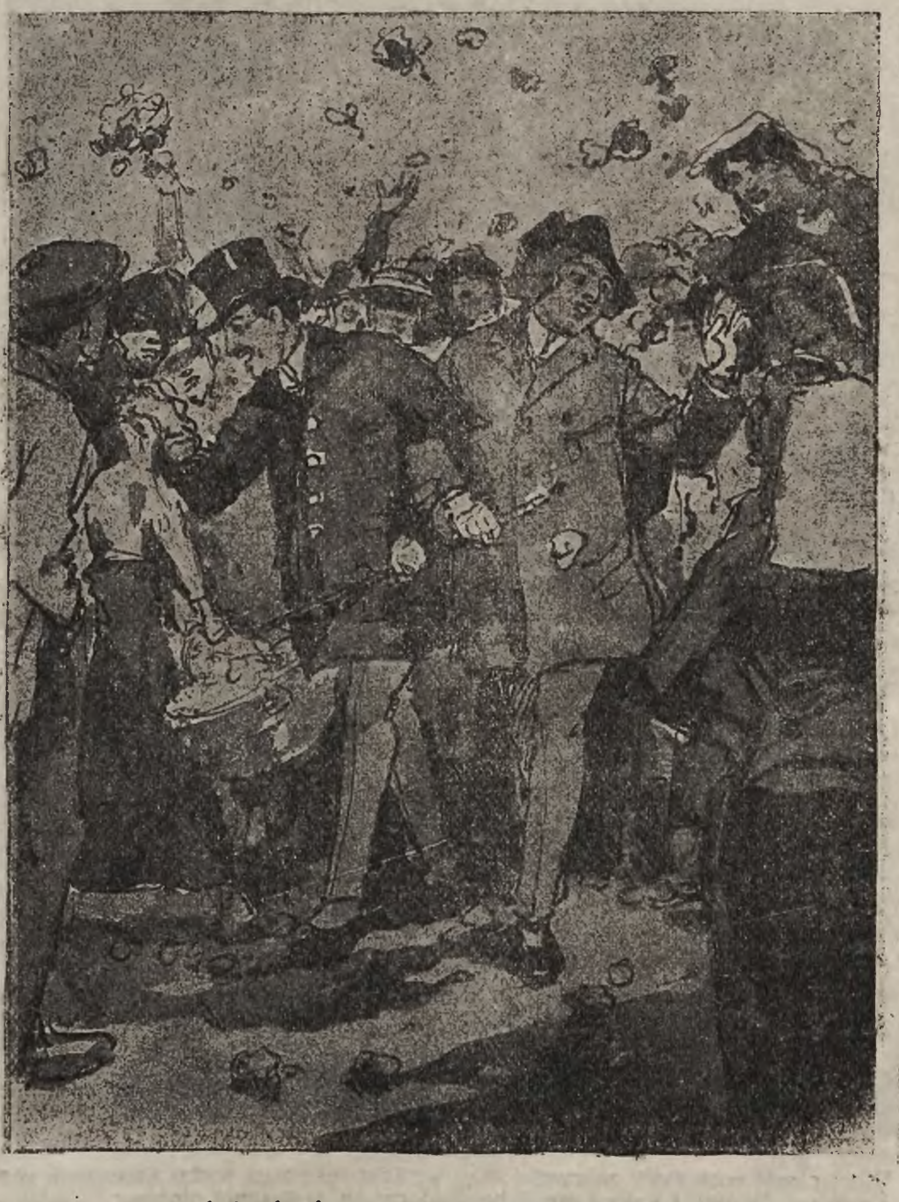
— Przysiągłeś! komu? „Jej"? — zawołała, podczas kiedy powóz zaczął powoli ruszać z miejsca.

— Tak! Zgadła pani!

— A ty, Ranieri? Ty może nie przysięgałeś?

— Owszem, przysięgałem „jemu".

— Komu, na Boga?



Dwóch młodych ludzi, bardzo wytwornie ubranych, trzymając się pod ręce, przeciskało się przez tłumy.'

— Carlowi Seotti!

— Ah! tak! zapomniałeś o mnie zupełnie! On tu jest niedaleko, wiesz?

— Czeka na ciebie, piękna Heliano?

— Tak. W San Carlo al Corso.

— A chciałaś jechać z nami!

— Bo tamten nudzi mnie okropnie! Ale do widzenia już! do widzenia! powracać będę wkrótce tędy. Mam ze sobą domina. Jeżeli chcecie, nie kompromitować się zbytnio, zamaskujemy się wszyscy. Do zobaczenia!

— Do zobaczenia, Heliano!

— Ładna i sympatyczna — zauważył Ranieri, kiedy powóz aktorki oddalił się trochę.

— Trochę niebezpieczna — dodał Robert.

— Eh! chyba nie!

— Lubi długotrwałe związki!

— A ty je nie lubisz, Robercie!?

— Nie!

— Nie byłeś nigdy zakochany?

— Nie, aż dotąd nie!

— A teraz?

— Teraz... to rzecz inna — wyrzekł przyciszonym głosem Alimena, zamyślając się głęboko.

— Ja również jestem zakochany — oświadczył szczerze.

— Doprawdy? Oddawna?

— Blisko od roku.

— Nieszczęśliwie, co?

— Nie! jestem kochany!

— A więc!

— Tem gorzej dla nas!

— Uskarżasz się na to?

— Boli mnie ze względu na nią.

— Więc to jest miłość nie do urzeczywistnienia? Z przeszkodami poważnemi?

— Tak, mój kochany! Miłość beznadziejna!

— Kobieta zamężna?

— Nie! Tylko należąca do innej narodowości, innej religii, innej rasy niż moja. Oh! Robercie! smutne to bardzo, wierzaj mi!

— Rozmawiając w ten sposób, młodzi ludzie doszli powoli, przeciskając się przez zatłoczoną ulicę aż do placu Seiarra i zaraz zwrócił ich uwagę drugi powóz, z którego dawano im energiczne znaki ręką i wachlarzem. Kobieta siedząca w powozie była zamaskowana i cała okryta obszernem dominem jedwabnem jasno niebieskiem, obszytem białem futrem. Uniosła maskę i zawołała donośnym głosem na Roberta i Lambertiniego.

— Ah! to donna Klara! — wyrzekł Ranieri, podchodząc do powozu. Pozwoli sobie pani przedstawić przyjaciela mojego Roberta Alimenę. Robercie, słyszałeś już niejednokrotnie zapewnie o pięknej donnie Klarze Loredana, sławie naszego miasta.

Donna Klara szybkim ruchem zdjęła maskę i błyszczące spojrzenie utopiła w twarzy Roberta.

— Szukałam cię, hrabio Ranieri — odezwała się po chwili, aby cię zaprosić osobiście na obiad.

Głos jej miękki i melodyjny brzmiał pieszczotliwie prosząco.

— Dzisiaj?

— Tak.

— Niestety, jest to niemożliwe!

— Dlaczego?

— Jestem już zaproszony gdzieindziej.

— Oto już trzeci raz słyszę podobne tłómaczenie — wyrzekła donna Klara z wymówką. — Hrabio Alimena, przyjaciel pana nie jest grzecznym dla kobiet.

— Jest nawet bardzo niegrzecznym — potwierdził Robert, patrząc z upodobaniem w ładną, zaróżowioną twarz młodej kobiety.

— Pan by nie odmówił — nieprawdaż!

— Oczywiście!

— Dzięki Bogu — westchnęła — jest jeszcze na świecie człowiek dobrze wychowany — Ranieri! — dodała, zwracając się do Lambertiniego — przyjdzie pan może do mnie jutro na herbatę. Czy i tego uczynić pan nie może?

— Przyjdę — skłonił się Ranieri — ale być może, że się spóźnię trochę.

— Przyprowadź pan hrabiego Alimenę.

— Dziękuję pani za zaproszenie — skłonił się z kolei Robert.

— Wyjechałam na corso kwiatowe — mówiła dalej donna Klara, ale nudzę się piekielnie. Zamaskowałam się, bo nie lubię pokazywać się z odkrytą twarzą kiedy jestem sama. Czy nie chcecie panowie wsiąść do mojego powozu?

— Idziemy na schadzkę — rzucił szybko Ranieri.

— Schadzkę miłosną? — zaśmiała się ironicznie.

— Oh! nie!

— A więc schadzka z graczami jakimi, przyznajcie się. Panowie wszyscy grać lubicie.

— Zgadłaś, hrabino.

— Ah! ileż ta gra w „maccao" mężczyzn nam zabiera!

— To gra wenecka — uśmiechnął się Alimena. — Powinna pani je lubić jako wenecyanka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

18 I.

— Panie Górkiewicz — rzekł do niego przyciszonym głosem, ujmując klapę jego surduta w dwa palce — czy nie mógłby mnie pan poinformować cokolwiek... co do tych, panie tego... Gawlików. Pan kręci się w tych sferach i wiem, że zna ich pan doskonale.

— O co panu hrabiemu chodzi, — zapytał Górkiewicz, zbogacony ajent handlowy, który był w ciągłem poszukiwaniu za żoną, mającą mu przynieść w posagu przynajmniej sto tysięcy koron — czy o pochodzenie tych ludzi, czy też o obecny ich stan majątkowy?

— O jedno i drugie.

— Więc pan hrabia przyjął dzisiejsze zaproszenie, nie wiedząc do kogo przychodzi? — zdziwił się ironicznie Górkiewicz i w oczach jego zimnych przebiegł złośliwy, pogardliwy wyraz.

— No, no, panie Gorkiewicz, zostaw pan te uwagi dla siebie — zimno odparł hrabia Gucio, którego błękitna krew jeszcze niekiedy czuła była na dotkliwe ukłucia.

Ajent błyskawicznie zoryentował się w sytuacyi. Znajomość hrabiego, choć zbankrutowanego doszczętnie, była mu potrzebną. Przez niego tylko dostać się mógł do tych sfer, do których pchał się jeszcze dotąd bezskutecznie. Przysługa więc, uczyniona hrabiemu, mogła mu się w przyszłości nieźle opłacić.

— Niech pan hrabia daruje — wyrzekł, kłaniając się uprzejmie. — Pozwoliłem sobie na żart niewłaściwy i najmocniej pana hrabiego za to przepraszam. Służę chętnie wszelkiemi informacyami.

— Więc te Gawliki... panie tego... myślisz pan, że dobrze już w pierze obrośli... co? Skąd się to wzięło tak nagle na bruku naszym, co?

— Rzeczywiście, marka na nich świeżutko naklejona — zaśmiał się Górkiewicz. — Szczęście mieli. Przed paroma miesiącami nikt o nich nie wiedział.

— Więc nie tutejsi chyba?

— Właśnie, że tutejsi, on były fryzyer, ona sklepik dzierżawiła.

— Oh!... — skrzywił się wymownie hrabia Gucio... — Legitymacya jasna... Maman Gawlik ma rzeczywiście charakterystyczną postać. No i tak nagle, powiadasz pan, w górę, fiu! jak rakieta! Żeby tylko z tego popiół i dym nie pozostał!

— Przyszłości nikt nie przewidzi — odparł filozoficznie Górkiewicz. — Tymczasem wiadomo w mieście, że Gawlik operuje doskonałymi interesami, na których bajeczne wprost sumy zarabia. Wszyscy się nawet dziwią, że w tak krótkim czasie nabrał potrzebnego do tego sprytu. Ale cóż? Dziś takie czasy, że los człowieka od szczęścia jego zależy. Trafił na wstępie na dobry interes i teraz jedno za drugiem idzie.

— Gotów jeszcze córkę dobrze wydać za mąż — rzucił od niechcenia hrabia Gucio. — Ciekaw jestem, ile też mógłby jej dać posagu.

Górkiewicz uśmiechnął się pod wąsem. Doskonale już przejrzał, do czego hrabia, żyjący z renty udzielonej mu przez rodzinę, zmierza.

— Hm! — mruknął, namyślając się. — Jak tak dalej pójdzie, to wkrótce może i milionek się zbierze. Słyszałem, że w tych dniach robi jakiś interes na parę kroci. On to szczęście coma, to w części zawdzięczać może swojemu wspólnikowi.

— Wspólnikowi! Któż to jest?

— Oh! pan hrabia zna go przecież, to ten Kręcki, co niegdyś był przy natcie w Borysławiu. Rzutny człowiek i stosunki ma. Tam, gdzie jemu samemu afiszować się nie wypada, to podsławia Gawlika i obydwaj na tem dobrze wychodzą. Bo on się szanuje, widzi pan hrabia, tutaj nawet dziś nie przyszedł, bo nie chce, żeby o jego konszachtach z Gawlikiem głośno mówiono. Oh! mądry to człowiek! Broń Boże jakiego nieszczęścia, to on z niego wyjdzie cało, a Gawlik beknie. Ale on ostrożny jest i niema na razie obawy, aby mu się noga podwinęła... Przyjrzał się pan hrabia dobrze pannie? I bez pieniędzy by ją niejeden wziął.

— Nogi ma grube w kostkach i inteligencyi za grosz — skrzywił się lekko hrabia Gucio. — Papa Gawlik będzie musiał się dobrze opłacić, jeżeli za wysoko patrzy. — Odwrócił się na pięcie i skierował w inną stronę salonu. Dowiedział się już, czego mu było potrzeba i niedawno w głowie zrodzona myśl konkretniejsze przybierać zaczęła formy.

W tej chwili ruch żywy zaszumiał przy wejściu. Na progu stanął Franciszek w niepokalanej świeżości fraku i rzucił bezdźwięcznym, wyraźnym głosem:

— Państwo Szulcowie z córką.

Szulcowie, dowiedziawszy się od Olearczykowej o przyjęciu, które miało nastąpić u Gawlików, zapragnęli nagle, aby ich zaproszono. Właściwie myśl tę podała córka ich Wikta, którą rozpierała ciekawość i chęć skrytykowania mieszkania Gawlików, jak również pragnienie poznania towarzystwa zaproszonego przez nich na ten dzień.



W tej chwili ruch żywy zaszumiał przy wejściu. Na progu stanął Franciszek w niepokalanej świeżości fraku i rzucił bezdźwięcznym, wyraźnym głosem: — Państwo Szulcowie z córką.

Olearczykowa zaś potrafiła do tego stopnia ciekawość tę zapalić, że w dwa dni później Szulcówna, spotkawszy przypadkowo Kazię na ulicy, pierwsza przystąpiła do niej i obydwie rywalki, zapominając o wzajemnych urazach, uścisnęły się serdecznie, obliczając w duchu korzyści tego nowego porozumienia.

— Muszę się z nią przeprosić — myślała Szulcówna, — bo inaczej nigdy wiedzieć nie będę, czy urządzenie ich mieszkania nie jest bogatsze od naszego. Olearczykowa za wiele o tem opowiada.

— Zmiażdżę ją opowiadaniem o wspaniałym wieczorze, jaki wydamy — kombinowała Kazia. — Zgłupieje, jak się dowie, kto do nas przyjść obiecał. A nawet gotowa jestem ją zaprosić. Niech się sama przekona, czy ze mną równać się może.

Po wejściu Szulców nadpływać zaczęła reszta gości. Zjawiło się nawet parę osób zupełnie nie zaproszonych przez Gawlika, a które tylko przez osoby trzecie dowiedziały się: „Gawlik wydaje wspaniałą kolacyę". Stary Franciszek co raz to rzucał od progu jakieś krótkie, dziwacznie brzmiące nazwiska, pośród których zabłąkało się czasem jedno o szlachetniejszem brzmieniu, z jego poważnej, wygolonej twarzy nie znikał ani na chwilę obojętny, lekko ironiczny wyraz.

Raz tylko, kiedy spojrzenie jego zbiegło się ze wzrokiem hrabiego Gucia, Franciszek uśmiechnął się porozumiewawczo i w parę minut zaanonsował podanie kolacyi. Szulcowie i Wikta pobladły na widok wytwornie zastawionego stołu.

Długi stół, ustawiony w poprzek obszernej jadalni, aż lśnił zdala od obfitości srebra i kryształów.

Pośród wznoszących się wysoko kloszów z owocami i cukrami, barwnemi plamami wykwitały wspaniałe bukiety, ręką starannego ogrodnika ułożone, roznosząc miłą, dyskretną woń dokoła.

— Skąd oni nabrali tyle sreber — szepnęła Szulcowa do córki, korzystając z chwilowego zamieszania przy zabieraniu miejsca przy stole.

— Musieli pożyczyć — odszepnęła Wikta, przygryzając usta ze złością.

Dnia tego Szólcówna miała wygląd bardziej jeszcze pospolity niż zazwyczaj. Niefortunny kolor sukni jasno poziomkowy, rażąco odbijał od rudych włosów, skręconych w loki nad czołem, podnosząc jeszcze bardziej zasilny koloryt jej twarzy, której nawet puder złagodzić nie potrafił.

Małe jej złośliwe oczy biegały jak na sprężynach, na wszystkie strony, obserwując, krytykując cokolwiek tylko pod spojrzenie jej padło.

Widok drugiego służącego, stojącego na uboczu z serwetą w ręce, do reszty popsuł jej humor.

— Widzi mama — syknęła do ucha Szulcowej. — Mało im było jednego, drugiego sobie przyjęli. Myślą, że nam zaimponują!

— Pewnie także wynajęty — pocieszyła ją matka.

Po chwili ład już zapanował przy stole.

Obok Szulcowej, duszącej się w jedwabnej, zielonej sukni, umieszczono również jak ona sapiącego i otyłego kupca, który zachowywał się w ten sposób, że zdawało się, iż robi Gawlikom zaszczyt niemały, iż raczył zjawić się w ich progach.

Po drugiej zaś jej stronie siedział milczący, chmurny jegomość o wybitnie semickich rysach. Był to jeden z aferzystów, z którym Gawlik zapoznał się przy robieniu interesów, król pokątnej giełdy krakowskiej.

Górkiewicz przedzielał Gawlikową i Wiktę Szulcównę, bardzo niezadowoloną z tego sąsiedztwa.

Narzeczony jej, podstarzały, schorowany baron, w ostatniej chwili wymówił się napadem silnej migreny. Reszta panów umieściła się dowolnie, wobec małej liczby kobiet znajdujących się w towarzystwie.

Kazia do ostatniej chwili miała nadzieję, że towarzyszem jej będzie hrabia Gucio.

Ten jednakże, dla którego dobra kolacya i wina były na razie największą przynętą tego wieczora, wybrał sobie wygodne miejsce, prawie na samym końcu stołu, przy starym jakimś ex-obywatelu ziemskim, który Gawlikowi podsunął był kilka dobrych interesów, zadawalając się małym procentem za pośrednictwo. Kazia zaś dostała za sąsiada pewnego kapitana, który zajmował się dostawami wojskowemi i który lepiej się czuł w towarzystwie kupców i agentów handlowych, niż w kasynie oficerskiem, pośród swoich kolegów.

„Menu" kolacyi, wybrane przez Franciszka, okazało się rzeczywiście wyborowe i zadowolnić mogło nawet wytrawnego smakosza. Do każdego dania podawano dwa doskonałe gatunki win do wyboru.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staroszewskiej.

TOM I.

26

Jej dzisiejszy namiętny wybuch pozostawił ślady na twarzy, na której znać było pewną ostrość i suchość, jakby mięśnie straciły swą elastyczność. Jak wychodziła z sypialni, Marie, wykrzyknęła z podziwem niechętnego podziwu: *Madame est exquise ce soir.* Zapytywała się, czy to prawda? a ponieważ głosy zwolna się oddalały zbliżyła się do lustra, szukając w niem odpowiedzi.

Wybrała suknię spacerową, zamiast tee-gowu, myślała, że wyda się w niej młodszą, gdyż wspaniała jej figura była była jednym z największych jej powabów. Tak, figura była wspaniałą i suknia doskonale ją uwydatniała. Ciche, jednostajne życie, które prowadziła w Londynie, od kiedy poznała Nigla, na następnie spokojny pobyt w cudownym klimacie Egiptu, doskonale wpłynęły na jej powierzchowność. Pomimo śladów, pozostawionych przez nieopatrzny wybuch gniewu, wyglądała stanowczo o wiele młodziej, niż w konsultacyjnym gabinecie Iseacsona. Zmarszczki koło oczu były prawie niewidoczne i od całej postaci biła jasność.

Ludzie wschodni kochają się w białej cerze i jasnych włosach córek północy i sądzą je być o wiele młodsze, niż ich wiek rzeczywisty.

Marie nie bardzo się myliła.

Zwróciła się, żeby wyjść na taras.

— Ah! Mahmond-Barondi! — rzekła z obojętnością, pełną wdzięku, kiedy obaj mężczyźni podeszli, żeby się z nią przywitać. — A zatem pan płynie w górę rzeki w swych interesach — zdaje się cukrowych.

— Cukrowych, tak madame — odrzekł poważnie, pochylając się nad jej ręką: mam nadzieję, że pani mi wybaczy, że ją nachodzę. Mąż pani bardzo uprzejmie nalegał, żebym przyszedł — w flanelowem ubraniu.

Jego tłómaczenie było bardzo spokojne, lecz Nigel wyglądał trochę podniecony, trochę zaniepokojony, błagając oczami o przebaczenie za ranny smutek. Nie była skłonną je już udzielić. Była słodką, lecz unikała jego spojrzenia. Przeszli się trochę, prowadząc lekką rozmowę o wszystkiem i o niczem. Wtem zwróciła się po raz pierwszy tego wieczora do męża:

— Nigel, może byś poszedł uprzedzić Hassana i kucharza, że będziemy troje przy obiedzie. Lepiej się z nimi porozumiesz po arabsku, niż ja po angielsku. Mahmond Barondi i ja zaczekamy na twój powrót na tarasie.

— Nasz słuszność — odrzekł.

I wyszedł natychmiast, zostawiając ich razem.

Po jego odejściu Mrs. Armine usiadła; przez chwilę milczała. Twarz jej się zmieniła, prawie niedbała naturalność i prostota uległy miejsca żywej i ponętnej światowej kobiecie. Nawet całe jej ciało zdawało się zmieniać, stawać się wrażliwszem, pod wzrokiem Barondiego i cała jej kobiecość, do tej pory spokojna, nagle śmiało powstała, by zwrócić na siebie uwagę tego mężczyzny, który opodal od niej siedział i patrzał na nią ze wschodnim spokojem.

Pomimo, że rozmawiali ze sobą na statku, to było ich pierwsze tête-à-tête.

Tego wieczora oczy Mrs. Armine mówiły Barondie'mu wyraźnie, że się jej podoba więcej jeszcze, że chce, żeby o tem wiedział; a on to przyjmował i odwzajemniał się. Zmiana, która w niej zaszła, wywołała zmianę i w nim. Wyraz otwartej stanowczości na jego twarzy, który pociągnął Nigla na okręcie, połączył się teraz z czemś ostrem, niemiłosiernem, co ona zrozumiała i oceniła. Patrząc na niego w zapadającym mroku nocy, zdawała sobie jasno sprawę, że, bezwątpienia, oprócz innych towarzyszów, mieszka w nim rozbójnik, nie znający trwogi ni litości. I porównała tego rozbójnika z Niglem.

— Jak pani znajduje Egipt, madame? Czy moja ojczyzna się podoba?

Pochylił się trochę naprzód i ten ruch zwrócił jej uwagę na jego szerokie, potężne ramiona, na śmiało osadzoną głowę.

— Czy pani już zwiedziła wszystkie ciekawości Teb i Karnaku?

— Tak, byliśmy zupełnie poprawnymi turystami. Widzieliśmy Kolos, groby, świątynie. Jedliśmy obiad przy księżycu, u stóp Pylonu w Karnak. Widzieliśmy zachód słońca z Deir-al-Behari.

— A wschód słońca?

— Znikąd. Wolę spać z rana.

— Czy panią zajmują te wszystkie groby, świątynie, mumie, madame? Czy pani się podoba jej życie w Egipcie?

Zatrzymała się przed odpowiedzią. Lubiła i sprawiały jej przyjemność wycieczki z Niglem w radosnym i cudownym klimacie Luksoru, improwizowane śniadania na wolnem powietrzu, albo wśród murów wspaniałych ruin; przejażdżki po brunatnych ścieżkach między zielonemi, pokrytemi falującem zbożem polami, na których śpiewały skowronki, a lecące dzikie gołębie tworzyły jedyną chmurę, na złotem i błękitnem niebie; wspinanie się po górach, gdzie słońce założyło swe panowanie od początku świata; powrót do domu, kiedy dzień się kończył, a fellahowie wracali do wsi pod czarnym aksamitem drzew palmowych i pył wzniecony i stopami wznosił się w złotem prawie powierzu. Podobał się jej obiad w Karnaku, przy świetle księżyca. Posiadała zdolność odczuwania przyjemności i fizyczną energię przeciętnej angielki, która czuje się jak u siebie na wolnem powietrzu; Egipt był dla niej zupełną nowością, przynoszącą zdrowie i uczucie młodości, A jednak zatrzymała się z odpowiedzią. W ostatnich czasach miała wrażenie tryumfu.

Udał się jej „coup", który uczyniła w chwili, kiedy jej życie zdawało się zapadać w szarość, udało się jej wymierzyć policzek towarzystwu, które ją odrzuciło od siebie. Powodzenie opromieniało jej życie. I nagle, niespodziewanie poznała, że żyła w złudnym raju, do którego ją wprowadził Nigel. Ta świadomość, jak wielka, czarna zasłona spadła na cały czas spędzony w Egipcie, zaćmiewając jego słoneczność, jasność i wesele.

— Owszem — rzekła — a pan, czy dba o to wszystko?

Wzruszył ramionami.

— Madame, nie jestem turystą. Co jabym robił w świątyniach między nietoperzami i w grobach, gdzie panuje woń śmierci? Nie powinna się pani zwracać z tem do Egipcyan. Trzeba iść do angielskich starych panien, które nosza helmy na swych siwych włosach tak ułożonych — swemi brunatnemi rękami stara się przedstawić ciasny węzełek, który przyłożył do tyłu głowy i gładzą po głowie swych dragomenów. którzy siedzą u ich stóp, opowiadając im tysiące kłamstw. Albo trzeba pójść do antykwaryuszów z czerwonymi nosami i łysemi głowami, którzy wygrzebują mumie, podczas gdy ich żony — ale, nie powinienem o tem mówić! Lecz czy my, Egipcyanie, mamy co innego do czynienia, niż przypatrywanie się Sfinksowi. Zawsześmy go widzieli. Wiemy, że jest tutaj, i że nie ucieknie. A zatem, wolimy uprzyjemniać sobie życie póki możemy i nie troszczyć się o resztę. Czy pani bierze nam to za złe?

— Nie — rzekła. — Niemam za złe nikomu, że uprzyjemnia sobie życie.

W jego spojrzeniu, a nawet w całem zachowaniu było coś, co zakrawało na ledwie tajoną zuchwałość. W Europejczyku, byłaby ją,, prawdopodobnie obraziła.

W Berondi'm nie tylko jej nie obrażała, ale nawet pociągała, gdyż. zdawało się, że zuchwałość leży w jego wielkiej sile, śmiałej i pięknej, rzucającej się w oczy powierzchowności, w jego wschodniej krwi. Taki człowiek musiał często czuć się zuchwałym, jakkolwiek starannieby to ukrywał. Dlaczego nie miałby jej pokazać kilku nek prawdy o sobie?

— Jakikolwiek byłby rodzaj uprzyjemnienia życia, madame? — rzekł.

Pochylał się wciąż trochę naprzód, przyłożył rękę do twarzy, spuścił ją na wspaniałą szyję i ukrył palce pod miękki, wykładany kołnierzyk, patrząc jej w oczy.

— Tego nie mówię.

— Czy pani bardzoby dbała, jaką drogą tąby przyszło, gdyby dawało zadowolenie?

— A pan?

— Ja! Z pewnością nie. Lecz ja nie jestem Mrs. Armine.

— Mrs. Armine? — rzekła — a cóż on?

— Czy onby nie myślał, że są rzeczy, które czynić trzeba i rzeczy, których czynić nie można? Wszyscy anglicy są tacy; do licha, jeżeli uczyni rzecz, którą oni uważają za złą!

Zdjął rękę z szyi, podniósł ją, następnie spuścił na kolana.

— Słowo daję — dodał z uśmiechem, starając się wciąż patrzeć w jej oczy. — To gorze, niż dla Egipcyana jeść wieprzowinę, w biały dzień w czasie Ramodanu.

— Pan nie lubi Anglików?

— Co mam na to powiedzieć?

— Prawdę.

— Jeżeli to angielskie panie, myślę, że są śliczne.

— A mężczyźni?

— Oh! oni są — dobrzy towarzysze.

Ostatnie dwa słowa wymówił na wpół pogardliwo śmiejącym się tonem.

— Lecz cóż to oznacza?

— Wspaniałe okazy madame!

Wyprostował się.

— Rozbif, plum-pudding, zwierzchnicy!

— Proszę się nie śmiać z moich współziomków.

— Śmiać się — nigdy! Lecz — czy mogę się uśmiechać, choćby tylko kącikiem?

Ukazał rząd białych zębów, dość silnych, by przegryść pręt żelazny.

— Anglik rządzi nami w Egipcie. Mówi, że to my rządzimy, lecz władzę zatrzymują przy sobie. A rządząc nami, pomiata nami, madame. Myśli, że jesteśmy głupiemi dziećmi. Lecz czasem, my, uśmiechamy się do niego, chociaż, naturalnie on nigdy nie uśmiecha się do nas, z obawy, że moglibyśmy pomyśleć. że nie jesteśmy bardzo niżej od niego. To bardzo źle, z naszej strony, jednak Allah pozwala nam się uśmiechać. A wtedy — znowu pochylił się naprzód i krzesło jego zaskrzypiało w ciemności — bywają angielki, które lubią jak się uśmiechamy, bywają nawet takie, które się uśmiechają razem z nami, poza plecami anglika.

Mówił spokojnie, z pewną subtelną ironią, ale bez cienia goryczy, a przy ostatnich wyrazach zniżył trochę głos.

— Czy to bardzo źle z ich strony, madame? Jak pani znajduje? czy pani je potępia?

Nie odpowiedziała, lecz jej malowane wargi drgnęły, jakby chciała powstrzymać uśmiech, a nie mogła.

— Jeżeli się uśmiechają, jeżeli się uśmiechają — czy to nie wstyd madame?

Uśmiechał się jej w oczy.

— To wielki wstyd — rzekła — gardzę kobietami, które zwodzą.

— A jednak, kto nie zwodzi? Każdy z wyjątkiem dobrych towarzyszów.

Pochylił głowę i śmiał się, a ona patrzała na jego wspaniałą szyję.

— Pan nigdy tak nie rozmawiał na Hohenzollernie — rzekła.

— Madame, nie byliśmy nigdy sami. Jak mogłem w ten sposób rozmawiać? Nie byłbym właściwie zrozumianym?

Nie tylko w jego oczach, ale także w przyznaniu się do pewnego koleżeństwa i sympatyi, z których Nigel i ludzie jemu podobni byli wykluczeni, były wyzwaniem dla Mrs. Armine, rękawiczką rzuconą jej w twarz. Czy czułaby tę zniewagę wczoraj? Nie mogła odpowiedzieć. Dzisiaj gotowa była się sprzymierzyć, gdyż dzisiaj nienawidziła prawie Nigla. Pominąwszy nawet jej żal do Nigla, Barondi wywarł na niej silne wrażenie. Czuła, widziała w nim zamiłowanie do rozboju — a ona czy nie była rozbójnikiem? Kilku zrujnowanych mężczyzn mogło na to odpowiedzieć. A w tym człowieku był wielki podkład siły i energii. Mrs. Armine była kobietą zdecydowaną, lak to Meyer Iseacson odgadł, czuła, że przy niej był teraz ktoś jeszcze więcej zdecydowany, wytrwalszy, a tak samo subtelny i chłodny. Pomimo, że był mężczyzną Wschodu, a ona kobietą Zachodu, jak mogli nie zrozumieć wzajemnie swych charakterów? A co do niego — ludzie wschodni są biegłymi w odcyfrowaniu myśli, jeżeli nie duszy.

Doznała uczucia wielkiego ukojenia, jak gdyby wieczorem został przyłożony balsam na ranę zadaną z rana.

„Ruby!"

Barondi oparł się zwolna o poręcz krzesła, wyglądał spokojny, silny i praktyczny.

— Czy wszystko w porządku co do obiadu, Nigiel?

— Mam nadzieję — rzekł — lecz niech Barondi się nie spodziewa, że mamy takiego kucharza, jaki jest u niego.

— Zostawię panów na chwilę — rzekła, wstając — obiad jest o kwadrans na dziewiątą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Jakiś czas mieliśmy spokój ze strajkami. Przydarzały się wprawdzie, ale tylko sporadycznie i w tak małych grupach, że to nie dawało się zbyt odczuć szerszemu ogółowi. Do takich zaliczyć możemy z bieżącego miesiąca bezrobocie kucharzy, kelnerów i... sędziów przysięgłych. Bardziej już dokuczył strajk kolejarzy, rekord zaś zdobył strajk jeneralny, jako protest przeciw dwuizbowości polskiego Sejmu. Polska jest chłopską — mówiono — nie potrzeba jej zatem żadnych pańskich apartamentów, wystarczy jej zupełnie jedna izba. Mogła też wchodzić w rachubę także i ta okoliczność, że jedna z Izb nazywałaby się wyższą, a druga niższą, co nie licuje z głoszonemi ciągle zasadami równości, ewentualnie zaś „senatem“, a wiadomo, co znaczyło w byłej Rosyi wyrażenie „poszedł w senatory“. Stronnictwa lewicowe nie mają tego zamiaru, zatem postanowiły zademonstrować, Sejm zaś był wogóle ciekawy, jak ten objaw „woli ludu“ wypadnie i dlatego odrzucił wniosek, aby wezwać Rząd do poczynienia starań o zapobieżenie zapowiedzianemu na dzień 18. października strajkowi.

Odbył się zatem w całej swej okazałości i był naprawdę jeneralny. Niewiele brakowało, a byliby strajkowali i jenerałowie. Sprawozdanie z niego i kilka uwag na ten temat zostawiamy sobie na później, na razie chcielibyśmy poświęcić kilka słów tamtym mniejszym.

Powodem każdego niemal bezrobocia jest obecnie kwestya poprawy bytu materyalnego, o to dopominali się też kucharze i kelnerzy.

Czy jednak mieli racyę, to już inna kwestya!

Zaczęli kucharze, wychodząc ze założenia, że, skoro od nich zależne są sprawy wewnętrzne ciała ludzkiego, powinni też być traktowani na równi z ministrem spraw wewnętrznych, albo nawet i jeszcze wyżej, gdyż taki minister nie jest narażony na smażenie się żywcem przy rozpalonym piecu, co jest natomiast udziałem kucharza, który też z tego powodu cierpi na nieustające pragnienie, a nie chcąc go, ze względu na zdrowie, gasić wodą, narażony jest skutkiem tego na coraz większe wydatki. Jeżeli się zważy, że bomba piwa kosztuje dziś siedm marek, i ile takich bomb potrzeba, aby wprowadzić do organizmu równoważnik wypoconej przy piecu cielesnej wilgoci, przyznać się musi kucharzom słuszność, że się upomnieli o swe prawa.

Dlaczego jednak zastrajkowali kelnerzy?... Ci chyba na byt materyalny narzekać nie mogą, zajmują bowiem stanowiska, których im ogół zazdrości, a niejeden z należących do proletaryatu inteligencyi wzdycha nieraz gorąco:

— Mój Boże!... Gdybym miał frak i młodsze nogi, nie wahałbym się ani chwili, aby rzucić urzędowe biurko a objąć posadę płatniczego... Jestem pewny, że najdalej za rok lub dwa ja byłbym właścicielem tego interesu, za dalsze dwa lub trzy wypuściłbym go w dzierżawę lub nawet sprzedał, aby się módz bez przeszkody oddać spekulacyom...

Dzienny zarobek kelnera, nie mówiąc już o płatniczym restauracyjnym lub kawiarnianym, równa się często miesięcznemu dochodowi wyższego rangą urzędnika. Płatniczy nie zamieniłby się z pewnością i z prezydentem ministrów, bo i cóż mu przyjdzie ze zaszczytu, gdy w kieszeni pustka. Minister ma portfel wypchany bezużytecznymi szpargałami, proszę zaś spojrzeć do portfelu kelnera, ile tam tysiączek i setek.

Otóż, skoro kelnerzy nie mają powodu do narzekania na byt, jeżeli zaprzestali pracy, to prawdopobnie dlatego, aby wykazać swą solidarność z kucharzami i zobowiązać ich w danym wypadku do podobnego poparcia swych żądań. Strajk był zresztą łatwy do przeprowadzenia. Wygasły ogniska kuchenne, nie było co podawać, można zatem odpocząć, a przy tej sposobności coś jeszcze dla siebie utargować.

Restauratorzy i kawiarze łamali ręce z rozpaczy i wołali głośno, że to dla nich ruina, ale widocznie zapomnieli, że to wszystko płacą nie oni, lecz konsument. A ten musiał się na to zgodzić w milczeniu, bo i na cóż się przyda, choćby najgłośniej protestował.

Jaki jednak cel mieli sędziowie przysięgli, na to pytanie trudno znaleźć odpowiedź. Być może przestraszyła ich długość rozprawy przeciw „zielonej brygadzie“, rozpisanej na jedenaście dni i dlatego nie przyszli do losowania. Siedzieć w kryminale, choćby nawet w charakterze sędziego przysięgłego i tylko przez dni jedenaście, to nie jest żadną przyjemnością. W każdym razie strajk ten należał do osobliwości swojego rodzaju. Czegoś podobnego jeszcze nie mieliśmy, nie jest zatem wykluczone, że możemy się doczekać i tak pożądanego strajku władz podatkowych, którym w samej rzeczy grozi przeciążenie pracą, powód zatem bezrobocia zupełnie słuszny, co zaś najważniejsze, że strajk byłby przyjęty z ogólną sympatyą i zachętą, aby trwał jak najdłużej.

Te trzy strajki były tylko lokalne, strajk kolejowy był już natomiast ogólny, a przyszedł do nas od strony Warszawy, gdzie się one bardzo pięknie udają i dlatego zapewne zmieniły się w... śrubę bez końca. Jeden się jeszcze nie skończył, drugi już się rozpoczyna, a trzeci i czwarty jest w przygotowaniu, tak, że można powiedzieć zupełnie słusznie, iż tamtejsze organizacye zawodowe mają za wyłączny plan swej działalności urządzanie strajków, ich zaś członkowie bynajmniej nie gniewają się, mając od czasu do czasu płatny odpoczynek po niezbyt wytężającej pracy.

I on miał za podkład starania o poprawę bytu, które musiały być słuszne, skoro je w całej pełni uwzględniono.

Czy jednak, zabiegając o poprawę bytu, trzeba się koniecznie chwytać tak radykalnego środka, jakim jest bezrobocie?... Czy inicyatorzy zastanawiają się nad tem, na jakie straty narażają kraj i ogół ludności, jakie szkody wyrządzają handlowi, przemysłowi, aprowizacyi i t. d.?... Gdyby to wzięli pod rozwagę, z pewnością strajki, zwłaszcza kolejarzy nie byłyby tak częste. Na takim strajku wychodzi dobrze tylko ten, którego miała odwiedzić teściowa, ale z powodu wstrzymania ruchu pociągów została w domu i zapowiedziała swój przyjazd, aż się „sytuacya wyjaśni“...

Dotyczący osobnik prosi też Pana Boga, aby ta sytuacya nigdy się nie wyjaśniła, ale takich, na szczęście, jest mało.

Trudno natomiast zrozumieć, jaki związek może mieć strajk jeneralny... z dwuizbowością Sejmu. Pewna część społeczeństwa pragnie mieć Sejm jednoizbowy i z tego powodu urządza jeneralne próżniactwo, które jednak nie może być uważane za dowód, że z jej zapatrywaniem zgadza się i reszta. Strajk ten, w dniu 18. października był, bardzo jeneralnym i ogólnym, ale nie z przekonania, ile raczej ze strachu, gdyż zagrożono kupcom, przemysłowcom, rzemieślnikom, że, jeżeli otworzą swe lokale, mogą się narazić na wybicie szyb.

Przestraszeni kupcy zastosowali się do rozkazu, wotując w ten sposób za jednoizbowością Sejmu, odczuł to zaś ogół ludności, który nie mógł się w nic zaopatrzyć, a nie należy zapominać, że to był poniedziałek, więc nazajutrz po dniu, w którym wszystko spoczywało „z urzędu“. W najgorszem położeniu byli ci, którzy z powodu braku zapasów gotówki, zaopatrują się codziennie częściowo w niezbędne artykuły spożywcze i ci, którzy stołują się w restauracyach. Jedni i drudzy głodowali, a niejeden westchnął, że Sejm może mieć i pięć izb, byle on nie potrzebował przymierać głodem.

Kronikarz spotkał jednego z kupców, dążącego Rynkiem i spytał go, czy przypadkiem nie wybiera się na wiec. Odpowiedział, że nie, bo nic go nie obchodzi, jaki będzie przyszły Sejm, byle mądrze a uczciwie radził.

— To dlaczegoż pan zamknął sklep? — pytał kronikarz.

— Bo kazali!... — odpowiedział — zagrozili wybiciem szyb... Zresztą i inni zamykali, ja nie mogę stanowić wyjątku...

— To pewne!... Gdyby pan był jednak swój sklep otworzył, kto wie, czy nie znaleźliby się naśladowcy, którzy tylko czekali, aby ktoś zrobił początek... A na to nikt się nie mógł zdobyć!... Gdyby stały otworem lokale wszystkich tych, którym zupełnie wszystko jedno, jaki będzie odnośny paragraf konstytucyi, z pewnością nikomu nawet nie przeszłoby przez myśl, aby dopuszczać się gwałtów na ich szybach, zwłaszcza, że zbyt wiele potrzeba byłoby czasu, aby się z wszystkimi załatwić!... Zwolennicy jednoizbowości mogą śmiało powiedzieć, że cały Kraków solidaryzuje się z nimi.

— Z wyjątkiem mnie!... — dorzucił.

— Widzi pan!... A zatem jest pan wyjątkiem, choć się pan tak zastrzegał!... Niech pan zresztą pamięta, że należy być konsekwentnym!... Nie jest wykluczonem, że i przeciwna strona, chcąc zademonstrować przeciw jednoizbowości Sejmu ogłosi w najbliższym czasie także strajk jeneralny!... I cóż pan wtedy?...

— Jeżeli inni zamkną, to i ja zamknę!...

— Dlaczegoż jednak nie powie pan: „Otworzę, aby inni poszli za mym przykładem!...“

— Niema głupich, narażać się niepotrzebnie!... Ciekawy jestem, dlaczego ja mam być tym pierwszym!...

— Widzi pan!... Tak mówi każdy z was, aby się sam przed sobą wytłomaczyć, bo każdy rad jest w duchu, że może próżnować, a ma się czem zasłonić... Terror, przymus, on jedynie tylko biedna ofiara losu, która chciałaby, ale nie ma dość odwagi i dlatego każdy może z nią zrobić, co mu się żywnie podoba!...

I faktycznie byłoby bardzo ciekawem, jak też zachowaliby się „zwolennicy jednoizbowości Sejmu“ — gdyby demonstracyjny strajk ogłosiła strona przeciwna. Nie ulega kwestyi, że zaznaczyliby znów z nią swą solidarność, aby się „przypadkiem nie narazić“... Chyba, gdyby się znalazł ten odważny „pierwszy“, który sklep otworzy i da w ten sposób dobry przykład krążącym po mieście kolegom, że pracować należy, nie próżnować!...

Strajk odbył się według wszelkich reguł, połączony z mowami, pochodem i t. d. Ponieważ Mickiewicz, dzięki przemówieniom przez tyle lat wygłaszanym obok jego pomnika, a nawet z niego, jest już dostatecznie politycznie uświadomiony, kolej przyszła na Władysława Jagiełłę. I wtedy słuchał, ale milczał, a kto milczy, ten się zgadza. Zatem i Jagiełło jest za jednoizbowością!...

Jeśli kto zatem sądził, że w dniu 18. października widział właściwe oblicze Krakowa i jego oryentacye polityczne mógł z niego wyczytać, ten się grubo mylił. Nie była to manifestacya przekonań, ile raczej strachu... przed wybiciem szyb. Gdyby nie te nieszczęsne szyby, tak dziś drogie, bardzo wiele lokali, które zamknęły wówczas swe podwoje, stałoby otworem.

Nie należy bowiem zapominać o tem, w jaki sposób odbywają się u nas strajki i połączone z nimi wiece i pochody manifestacyjne, demonstracyjne, czy też protestujące. Biorą w nich udział nieraz liczne tłumy, ale ich uczestników musi się podzielić na trzy kategorye, bardzo mało, albo nawet nic nie mające ze sobą wspólnego, w większej części nie mające nawet pojęcia o tem, o co właściwie rozchodzi się inicyatorom.

Pierwszą, najważniejszą część stanowią ci, którzy zajmują się urządzaniem strajków, pochodów i t. d., wygłaszają mowy, wznoszą okrzyki. Tych jest stosunkowo niewielu, a biorą udział „z urzędu“.

Druga część znalazła się w pochodzie „z grzeczności“, aby w ten sposób przyczynić się do jego uświetnienia. Są to ci, których, dzięki strajkowi, uwolniono od pracy, chcą więc w ten sposób wywdzięczyć się tym, którym ten odpoczynek zawdzięczają, a spacer, o ile dopisze pogoda, jest nawet bardzo dla zdrowia wskazany. Ale i ich jest znikoma liczba, gdyż większość, korzystając z zamknięcia warsztatów pracy, wolała zostać w domu.

Zato trzecia grupa jest najliczniejsza, a prowadzi ją tu... ciekawość. Składa się ona z dwu pod-grup. Członkowie jednej są ciekawi, czy też „będą lecieć szyby...“, bo i cóż wart strajk bez ich brzęku. O takim można śmiało powiedzieć, że się nie udał. Druga jest też ciekawą, czy nie nadarzy się sposobność wywołania awantury, przy której możnaby puścić wodze swej szerokiej naturze, naturalnie na cudzy rachunek i odpowiedzialność, o ile bowiem przyjdzie do czegoś podobnego, winę zwala się na urządzających demonstracyę, którym nieraz ani w głowie podobne nadprogramowe dodatki, jakie nieraz, niestety, zbyt często uświetniają ich przedsięwzięcie.

I tych właśnie ostatnich boją się, zupełnie zresztą słusznie, spokojni obywatele, którzy troskę o to, jaki ma być nasz Sejm przyszły, zostawili posłom, wysłanym do Warszawy.

Skoro zaś obdarzyło się ich zaufaniem, wpływanie dziś na nich przy pomocy strajku jest czemś, bardzo mało związku mającem z logiką, a choćby nawet tylko ze zwykłym chłopskim rozumem.

A jeśli Polska ma być naprawdę chłopską, niechże ma i ten chłopski rozum, na którym może wyjść jak najlepiej.

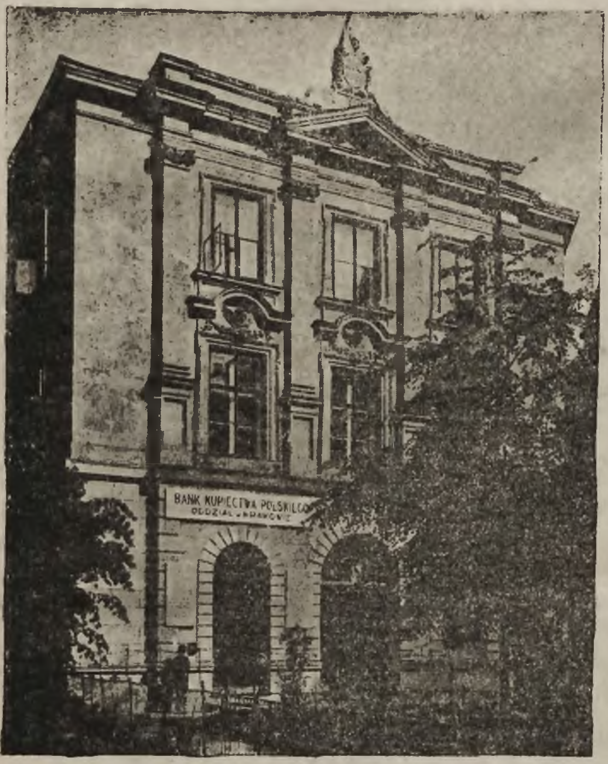
Zwolennicy dwuizbowości Sejmu zapewne strajku jeneralnego nie urządzą, w najbliższym czasie grozi nam natomiast bezrobocie funkcyonaryuszy policyi, nie mogących się doczekać poprawy bytu. Tego rodzaju bezrobocie będzie czemś jeszcze oryginalniejszem, niż strajk sędziów przysięgłych. Ogół społeczeństwa zbyt się tem nie cieszy, natomiast sama wiadomość o podobnym strajku odbiła się bardzo wdzięcznem echem w szerokich kołach członków cechu złodziejskiego i wszystkich tych, którzy z kodeksem karnym nie mogą się jakoś pogodzić i zapowiadają także jakąś demonstracyę za jego zniesieniem.

Ale kronika się kończy, kończy się też i październik, choć był taki długi, skończy się zatem może i wojna, ludność się uspokoi i przestanie strajkować, a na świecie zapanuje raj, ale, broń Boże, nie bolszewicki, który nawet w Rosyi, z powodów od Redakcyi niezależnych, zrobił zupełne fiasko... Nauczeni rozumu wojenną biedą, nie będziemy stawiać zbyt wygórowanych wymagań, zadowoliwszy się małem. A jeżeli się to nie stanie, w takim razie niema innej rady, tylko trzeba będzie zastrajkować. A ten strajk będzie już naprawdę jeneralny i zupełnie uzasadniony.

BANK KUPIECTWA POLSKIEGO

FILIA KRAKOWSKA.

Ojczyzna nasza, będąca do niedawna jeszcze pod potrójnym obuchem obcej przemocy, wskrzeszona dzisiaj do samodzielnego życia politycznego, zakończywszy chlubnem zwycięstwem ostatni bój o śmierć i życie narodowe — oddać się dzisiaj może i musi wewnętrznej pracy, zmie-



BANK KUPIECTWA POLSKIEGO: Oddział w Krakowie.

rzającej do odbudowy społecznej i umocnienia gmachu państwowego.

Wiekowe usiłowania drapieżnych zaborców pracowały nad tem, by zniszczyć wewnętrzną poisłość narodu, jak niemniej, by zabić naszą samodzielność i odebrać nam nawet w przyszłości możliwość przyszłego odrodzenia.

Wrogowie nasi dążyli z wyrafinowaną precyzyą i konsekwencyą do zniszczenia podwalin ekonomicznych, zabicia handlu i przemysłu. Szkody, wyrządzone łajdackim tym systemem, okazują się olbrzymiemi i wymagają szybkiej zdecydowanej i na wielką miarę przedsięwziętej akcyi rekonstrukcyjnej. Chcąc utrzymać w całej pełni nasz byt niezależny, a nie być zepchniętą do szeregu podrzędnych efemeryd i parodyi jestestw politycznych, chcąc zatrzymać należne sobie miejsce w rodzinie poważnych organizacyi mocarstwowych — musi Polska dążyć wszelkiemi siłami do odbudowy dziedzin narodowego odrodzenia, które dotychczas z szatańską premedytacyą dławili nasi wrogowie. Pierwszemi temi dźwigniami odrodzenia jest handel i przemysł, praca organizacyjna z gromkiem hasłem:

„Polski handel w polskiem ręku!"

Patryotyczne nasze Kupiectwo zrozumiało to szczytne zadanie, to też bezpośrednio po wskrzeszeniu niepodległego bytu narodowego, założyło na I. Zjeździe Stowarzyszeń Kupców polskich w Warszawie — wielki Bank warszawski: „Bank Kupiectwa polskiego", z celem zjednoczenia naszego kupiectwa całej Polski.

Bank Kupiectwa polskiego jest towarzystwem akcyjnem, opartem o kapitał zakładowy 50 milionów marek.

Statuty Banku Kupiectwa polskiego zostały zatwierdzone przez Ministrów Skarbu oraz Przemysłu i Handlu w dniu 8 listopada 1919 i ogłoszony w „Monitorze Polskim" Nr 10. z 14 stycznia 1920 roku.

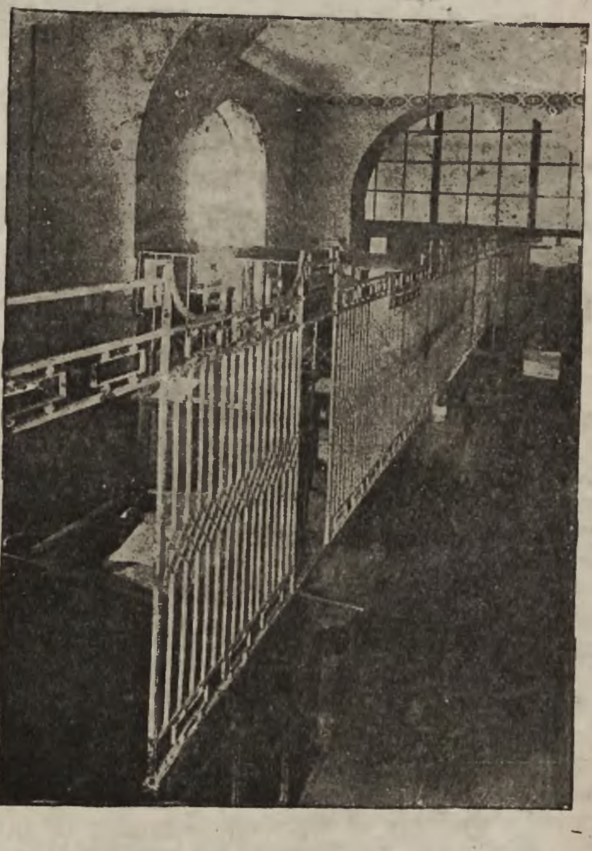
Świetny rozwój młodej, a potężnej instytucyi, pozwolił Generalnej Dyrekcyi Banku na zakupienie w Poznańskiem Drezdner Banku wraz z wszystkiemi filiami — oraz na rozszerzenia sieci własnych filii na całą Polskę, z reprezentacyami we wszystkich niemal głównych miastach kraju.



BANK KUPIECTWA POLSKIEGO: Sala posiedzeń.

Agendy Banku Kupiectwa polskiego obejmują wszelkie czynności i prace w najszerszy zakres zadań bankowych ujęte.

Bank kupiectwa polskiego, będąc wyłącznym reprezentantem wielkiego amerykańskiego *Bro-*



BANK KUPIECTWA POLSKIEGO: Wnętrze hali.

adway Finance Corporation i złączonych z niem banków polskich *Broadway National-Bank*, *Falls National-Bank* i *American Bank*, poza wszelkiemi ścislemi, specyficznemi czynnościami bankowemi finansuje i przeprowadza zakupna wszelkiego rodzaju towarów i surowców w Ameryce, pośredniczy we wszelkiej korespondencyi i transakcyach pieniężnych z emigrantami polskimi w Ameryce, przesyła telegraficznie i przez pocztę pieniądze z Polski do Ameryki i wypłaca nadesłane stamtąd przekazy.

Stosunki Banku Kupiectwa polskiego w Ameryce są wielkich doniosłości. Zważmy, iż powrotna fala naszego uchodźctwa z Ameryki niesie z sobą kolosalne zasoby pieniężne, które stać się mogą dla naszej zubożałej wojną ojczyzny źródłem odrodzenia i rozkwitu. By te zasoby nie zostały zmarnowane przez wyzysk, wszedł bank kupiectwa polskiego w porozumienie z organizacyą Polskich Banków w Ameryze, porozumienie zapewniające nadsyłanej z Ameryki gotówce wszystkie korzyści, wynikające ze stosunku walutowego, a powracającym uchodźcom daje kilkudniowy przytułek, opiekę i bezinteresowną poradę.

Dla tem skrupulatniejszego sprostania usługom w tym kierunku, Bank kupiectwa polskiego wszedł w ścisły kontakt z organizacyą pasażerskiego i towarowego ruchu z Polski do Ameryki na własnej linii okrętowej przez Gdańsk z każdej miejscowości Rzplitej Polskiej.

Oto jest w streszczeniu przedstawiony cało kształt działalności Banku kupiectwa polskiego.

W mieście naszem została z początkiem b. roku otwarta filia Banku kupiectwa polskiego, którego centrala ma siedzibę w Warszawie. Fi-



BANK KUPIECTWA POLSKIEGO: Korespondencya.

lia krakowska mieści się przy ulicy Pijarskiej L. 2 vis a vis Hotelu Francuskiego. Dyrektorem filii Banku w Krakowie jest p. Kazimierz Kurkiewicz, syn tutejszego wielkiego przemysłowca, chlubnie znany finansista, były urzędnik Banku Krajowego, oraz były sensal giełdy krakowskiej.

Dyrektor filii, człowiek niepospolitych zdolności głębokiej fachowej wiedzy, rozporządzający roz ałęzionymi stosunkami we wszystkich warstwach towarzyskich miasta i kraju — dał się już poznać finansowym sferom jako jeden z najwybitniejszych ekonomistów, a owocną pracą swoją dla giełdy krakowskiej przyczynił się bardzo do jej rozwoju.

Osoba Dyrektora Kurkiewicza daje też pełną gwarancyę rozwoju i spełnienia wielkich zadań potężnej już dziś instytucyi, jaką jest Bank Kupiectwa polskiego w naszym kraju.

Opieka nad żołn'erzem polskim.

(Do illustracyi na str. 4).

Żołnierzowi, który ma stać na straży granic kraju i czuwać nad bezpieczeństwem współobywateli, nie dość jest dać mundur i rynsztunek, oraz zapewnić mu wyżywienie, ale trzeba się postarać i o zaspokojenie jego kulturalnych potrzeb, dać sposobność godziwej rozrywki po trudach ciężkiego żołnierskiego żywota.

O tem wszystkiem pomyślano przy tworzeniu armii polskiej. Dzięki inicyatywie ludzi dobrej woli, rozumiejących, że szara, jak ten mundur, który na sobie nosi, dola żołnierza musi też mieć i jaśniejsze chwile, założono Uniwersytet żołnierski, urządza się różnego rodzaju przedstawienia, odczyty, pogadanki, wreszcie i zabawy, mające połączyć pożyteczne z przyjemnem, dać rozrywkę, a rozumnie kształcić i wpływać na wytworzenie między członkami naszej armii, by jedność i braterstwo, które uczyniłyby z nich członków jednej wielkiej rodziny, których hasłem: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego".

Do tego celu nadają się zaś najbardziej gospody żołnierskie, w których żołnierz w wolnym od zajęcia czasie znajduje wytchnienie, posiłek i rozrywkę w gronie towarzyszy broni. Zakładanie ich i opieka nad niemi, to obowiązek moralny tych, którym dobro żołnierza naszego powinien leżeć na sercu.

Działalność na tem polu jest bardzo ożywiona, gospody takie powstają jedna po drugiej, a rozwojem ich interesuje się całe polskie społeczeństwo.

W ubiegłym tygodniu poświęcono i uroczyście otwarto Gospodę żołnierską we Lwowie w warsztatach automobilowych przy ul. Janowskiej. Wdzięczny swym obrońcom Lwów pamięta o ich potrzebach i dokłada starań, aby „dzieciom lwowskim" na niczem nie zbywało. Uroczystość odbyła się przy licznym udziale zaproszonych gości ze sfer wojskowych i cywilnych.

Na rosyjskim południowym froncie.

Sytuacya na rosyjskim południowym froncie tak sprzecznie przedstawianą jest przez komunikaty różnych ajencyj telegraficznych, że poprostu trudno sobie o niej wyrobić jakieś stałe, a uzasadnione pojęcie. Dotąd czytaliśmy ciągle o sukcesach armii jenerała Wrangla, ostatnie telegramy donoszą o jej odwrocie za Dniestr.

Z chwilą zawarcia rozejmu między Polską a Rosyą sowiecką położenie jej samą siłą faktu musiało się pogorszyć. Rząd sowiecki, pozbywszy się na zachodzie tak poważnego wroga, jakim była dlań Polska, może się tem skuteczniej zabrać do innych przeciwników, z których najgroźniejszym jest jenerał Wrangel, który podstawę swych operacyj ma na Krymie, co mu ułatwia zaopatrywanie się w materyał wojenny drogą morską.

Na południowym zachodzie czynną jest też armia Petlury, który rzekomo miał nawiązać ścisły kontakt z Wranglem, potem go zerwał i działa na własną rękę tak jak i Budiennyj, który z sowieckiego wodza stał się wrogiem bolszewików i porządnie daje się im we znaki, o ile naturalnie prawdę mówią komunikaty.

W każdym razie Rosya sowiecka jest przecież jeszcze bardzo silna, skoro, pomimo niepewnego położenia wewnątrz kraju, może jeszcze skutecznie opierać się tylu wrogom, a nawet zmuszać ich do odwrotu. Ułatwia jej sytuacyę okoliczność, że każda z tych grup, operujących na południowym froncie, działa na własną rękę. Wszyscy razem stanowiliby dla niej poważne niebezpieczeństwo, gdy natomiast, idąc luzem, ułatwiają jej sytuacyę.

I, jak z tego wszystkiego widać, na południowym froncie nie da rady Rosyi sowieckiej ni Wrangel, ni Petlura, ni Budiennyj, koniec jej rządów może być następstwem antibolszewickiej rewolucyi, która ma się szerzyć coraz bardziej i zataczać coraz szersze kręgi. Topiona w krwi na jednem miejscu, podnosi głowę na drugiem i ona tylko może wykopać grób rządom czerwonych carów i dopomódz skutecznie akcyi militarnej Wrangla, Petlury itd. Dla niej rosyjski front południowy będzie i nadal terenem walk, prowadzonych ze zmiennem szczęściem, a nie prowadzących do rozstrzygnięcia.

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.





Na rosyjskim południowym froncie Jen. Wrangel dekoruje na froncie dowódcę dyw. b. armii Korniłowa, jen. Skoblinowa.

Ohydne matkobójstwo w Krakowie.

W sobotę ubiegłego tygodnia znaleziono na polach, należących do „Pomony“ na Warszawskiem, porzucony kosz, owiązany sznurem. Gdy jedna z pobliskich mieszkanek tej dzielnicy zaintrygowana tajemniczym przedmiotem zbliżyła się doń, ujrzała na nim ślady krwi. Przy pomocy przechodzącego



Ohydne matkobójstwo w Krakowie 18-letnia Eugenia Jabłońska, morderczyni własnej matki.

cza L. 11, które oświadczyły, że podany przez pisma rysopis zamordowanej zgadza się zupełnie z wyglądem niejakiej Rozalii Jabłońskiej, handlarki starzyzny, zamieszkałej w tymże samym domu, która wedle opowiadań córki Eugenii miała rzekomo wyjechać na wieś.

Pod wskazanym adresem udał się natychmiast adjunkt policyi, p. Bronisław Karcz. Przy wejściu do mieszkania, które Jabłońska zajmowała wraz z córką, zwrócili funkcyonaryusze policyi uwagę na numery pism krakowskich, zawierające opis morderstwa rozłożone na stole. Innych śladów zbrodni mimo najskrupulatniejszych poszukiwań nie znaleziono. Stąd udano się do piwnicy, gdzie rozjaśniła się tajemnica. Na środku znaleziono kałużę zakrzepłej krwi, na ścianach ślady mózgu, w kącie leżała porzucona skrwawiona siekiera. Nie ulegało już wątpliwości, że tutaj spełniono ohydne morderstwo, a zeznania domowników zwróciły podejrzenie na córkę zamordowanej, Eugenię. W chwili, gdy komisya policyjna opuszczała piwnicę, nadeszła nieobecna dotąd Eugenia Jabłońska i natychmiast aresztowana przyznała się cynicznie i z zupełnie zimną krwią do spełnienia tego czynu, oświadczając, że zamordowała matkę, bo jej jeść nie dawała, to znowu, iż była dla niej bardzo dokuczliwą.

Jak dalsze śledztwo wykazało Eugenia nosiła się już od dłuższego czasu z myślą zgładzenia matki przy pomocy trucizny, której jej dostarczyła przyjaciółka Róża Koźlikówna. Gdy trucizna nie skutkowała, postanowiła matkę zamordować i w tym celu zwabiła ją podstępnie do piwnicy, wszczęła z nią sprzeczkę i w trakcie tejże ugodziła ją w szyję przygotowaną siekierą. Aby usunąć ślady zbrodni, postanowiła Eugenia, po naradzie z drugą swoją przyjaciółką Honoratą Sajdakówną, poćwiartować trupa i spalić, albo też wywieźć i utopić w Wiśle. Stanęło na tem drugiem, z tą jednak różnicą, że kosz z poćwiartowanemi zwłokami porzuci się gdzieś w polu. Trupa matki poćwiartowała córka i owinąwszy go w łachmany, umieściła w koszu, który wczesnym rankiem przy pomocy Sajdakówny wywiozła na Warszawskie i tam porzuciła.

O zwierzęcych iście instynktach Eugenii świadczy fakt, że za uzyskane ze sprzedaży garderoby matki pieniądze, zakupiła sobie bezpośrednio po morderstwie żółte buciki i białe boa.

Wyrodną matkobójczynię wraz z wspólniczkami odstawiono do więzienia Sądu karnego.



Ohydne matkobójstwo w Krakowie: Poćwiartowane zwłoki Rozalii Jabłońskiej. Zdjęcie dokonane przez fotografa Policyi państwowej).

mężczyzny rozerwała sznury, a gdy kosz otwarto, oczom obojga przedstawił się widok, mrożący krew w żyłach. W koszu znajdowały się poćwiartkowane w straszliwy sposób zwłoki kobiety. Wieść o odkryciu tajemniczego kosza i jego zawartości rozeszła się szybko po całej dzielnicy, zawiadomiono o tem także policyę, z której ramienia przybył na miejsce kierownik ekspozytury policyjnej na Krowodrzy radca Closmann i wdrożył natychmiast energiczne śledztwo. Na razie stwierdzono, że kosz ten przywiozła na miejsce na dwukołowym wózku jakaś przystojna blondynka w wieku około lat dwudziestu.

Gdy wiadomość o znalezieniu tajemniczych zwłok na Warszawskiem pojawiła się w niedzielę w krakowskich pismach, zgłosiły się na inspekcyi policyjnej dwie lokatorki domu przy ulicy Zyblikiewi-



Ohydne matkobójstwo w Krakowie: Honorata Sajdak, służąca, spólniczka popełnionego mordu. Rozalia Koźlik, pielęgniarka która dostarczyła Jabł. morfiny

Nadesłane.

„Józia — legionistka“.

W ostatnich czasach daje się u nas odczuwać silnie brak dobrych popularnych książek, które w formie belletrystycznych opowiadań przedstawiałyby barwnie i zajmująco wypadki współczesnego życia, tak bystrą obecnie toczących się falą. Żołnierz polski stał się ukochaniem społeczeństwa, ku niemu zwracają się wszystkie patryotycznie czujące serca. Każdy chciałby dowiedzieć się czegoś o tych żołnierzykach naszych, u dają myślą złączyć się z nimi, przeczytać w jesienny czy zimowy wieczór coś o ich przygodach na froncie bojowym, na kwaterze, na urlopie, nanizać jasnej perły bohaterstwa na jedną nitkę z koralami czerwonemi jak róże miłości z błyszczącymi paciorkami żartu i humoru. Wydawnictwo „Opowiadań żołnierskich“ ma wypełnić tę lukę, a chcąc dawać społeczeństwu rzeczy prawdziwie wartościowe, zaprosiło do współpracownictwa wybitne pióra autorskie. Jako pierwszy zeszyt ukaże się pełne wdzięku opowiadanie p. t.: „Józia — legionistka“. Autorem tej noweli jest p. Adam Wzaryga-Miniewski, którego cykl powieści „Miłość i wojna“, drukowany w *Nowościach Illustrowanych*, tak wielkie wzbudził zainteresowanie, a „Józia — legionistka“ opowiada o dalszych losach sympatycznej bohaterki „Wojennego małżeństwa“.

Cena egzempl. 20 mrk., z przes. poczt. 22 mrk. Zamówienia przyjmuje Administr. „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV, Kazimierza Wielkiego 95.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył M. Franc^s, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko jednego z królów polskich:

```
      ■
    – ■ –
  – – ■ – –
  – – ■ – –
    – ■ –
      ■
    – ■ –
    – ■ –
  – – ■ – –
    – ■ –
    – ■ –
      ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Urzędnik francuski, 3. Część drzewa, 4. Imię męskie, 5. Zwierzę drapieżne, 6. Spółgłoska, 7. Imię żeńskie, 8. Polska rodzina szlachecka, 9. Miasto w Czechach, 10. Rzeka w Niemczech, 11. Imię żeńskie, 12. Samogłoska.

Trójkąt magiczny.

Ułożył A. B., Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego poety:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ – – – – – – –
■ – – – – –
■ – – – –
■ – – –
■ – –
■ –
■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 1, Szczyt w Tatrach, 3. Miasto na półwyspie pirenejskim, 4. Imię żeńskie, 5. Część świata, 6. Miara długości, 7. Przyimek, 8. Samogłoska.

Zgłoskówka.

Ułożył X. Y., Kraków.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich zdarzenie, o którem wiele pisano w ostatnich czasach:

Zagłoba, Rozwadów, kukułka, Burlaj, kompromis, trzaska, z, Corneville, kulig.

REBUS.



Okienko.

Ułożył A. M., Radom.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a  a  e  e  e
e     k     n
n  n  o  o  r
r     s     t
t  u  u  y  y
```

Znaczenie wyrazów: 1) Rodzaj poezyi, 2) Rzeka w Niemczech, 3) Miasto we Włoszech.

Grzebieniówka.

Ułożył M. N., Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwisko jednego z dowódców polskich z czasów wojen napoleońskich:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
–   –   –   –   –   –
–   –   –   –   –   –
–   –   –   –   –   –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Półwysep w Europie północnej, 2. Francuski powieściopisarz, 3. Postać biblijna, 4. Pasmo górskie, 5. Dopływ Wisły, 6. Wyżyna w Azyi.

Kwadrat magiczny.

Ułożył M. Krawiec, Zakopane.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a. a, d, d,
i, i, k, l,
l, m, m, m,
o, o, r, y.

Znaczenie wyrazów: 1) Miara odległości, 2) Święty obraz (wyrażenie wschodnie), 3) Tytuł angielski, 4) Góry w Ameryce.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) W. Przyborowskiego: „Czerwona mara" (powieść), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 42.

Trójkąt magiczny: Zaleski, Antoni, Litwa, Eraw, Sanki, i.

Przekładówka: Rynek, Odra, San, Ernani, Nietsche, Faraon, Eli, Lite, Dorpat.

Grzebieniówka: Jawa, a, noga, s, opal, b, Iram, e, Soła, k, imen.

Zadanie do przestawienia: Na bezrybiu i rak ryba.

Szarada: Jesień.

Zagadka literacka: Jan z Tenczyna, Ostatni z Siekierzyńskich, Faraon, Fiis, Eros i Psyche.

Kwadrat magiczny: Pasek, wazou, Poraj, Marys, Krzyż.

Rebus: Lekko zapracowane pieniądze lekko się wydaje i pożytku niema wcale z takiego grosza.

Zgłoskówka: Pocałunek wojny.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: H. Bielecki Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Dębska Kraków, W. Raczyński Krakow, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, J. Jagodzińssi Nowy Sącz, J. Jabłoński Lublin, A. Lipski Wiedeń, S. Grabowski Wadowice, A. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, W. Lasocki Kraków, S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów, M. Gross Wadowice, S. Bielecki Przemyśl, K. Kucharski Jasło, J. Kalinowski Poznań, W. Smiszkiewicz Milówka, J. Pate-K. Dębiński Jasło, M. Ogibińska Nowy Sącz, S. Sokołowski Kraków, W. Szczudłowski Jarosław, L. Gartner Rozwadow, J. Nowacki Lublin, R. Cielicka Łódź, J. Martynowicz Kielce, ski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, S. Sygowska Rzeszów. J. Rogozinski Biała, M. Jasińska Lwow, S. Brodziński Kraków, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło, K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło, S. Kowalski Kraków, K. Koźmiński Tarnów, M. Kuczyńska Warszawa, W. Witowska Warszawa, M. Lewińska Stanisławów, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwow, K. Bereźnicki Stanisławow, J. Sienkiewicz Warszawa, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, M. Wacyk Lwów, M. Weryński Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, S. Grzybowski Kraków, S. Zajączkowski Rzeszów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) J. Jagodzinski Nowy Sącz (książka), 2) M. Wacyk Lwów (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. 50 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.